W numerze: Opole 65 • Miasto na pustyni • Mówi Picasso • „Rekomendacja" • Kto zabije człowieka? • Wiersze • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy

Nr 26 (342)
4. VII 1965
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK ROK VIII

JAN BĄBIŃSKI

Cudzoziemiec nad Łódką

Na dworcowych peronach miast zachodniej Europy wiszą barwne mapy turystyczne. Francja, Niemcy, Polska... Wrocław, Szczecin, Poznań, Kutno. Łodzi ani śladu. „Soyez bienvenus en Pologne" — zaleca się do obcokrajowców broszurka wydana anno domini 1964 w Warszawie. Na ostatniej stronie tego dziełka mapka Polski. Cieszyn, Toruń, Suwałki, Poznań, mnóstwo jest miast na tej karcie. Łódź z niej wyparowała. Wymazano ją. Nie uwzględniono drugiego co do wielkości miasta w kraju. Czego chcecie? Łódź nie ma przecież Barbakanu, nie ma targów, ani jeziora.

Spece od turystyki wiedzą lepiej, przynajmniej tak im się wydaje.

Życie biegnie jednak swoim torem. Łódź leży w centrum kraju, tego faktu nie mogą obalić administratorzy przy biurkach. Więc w podróżach po Polsce Łodzi nie da się ominąć, ani przeskoczyć. Chyba helikopterem. W tym właśnie sęk, że polski Manchester nie tylko z nazwy, ale też z wyglądu, przecinają transit routes — międzynarodowe drogi tranzytowe. Łódź jest pozbawiona krzyżujących się linii kolejowych. Ma za to krzyżujące się w śródmieściu doskonałe szosy. W czasach opętańczej motoryzacji ten fakcik ma znaczenie.

Pierwsza z przelotowych tras wiedzie z okolic Dusznik przez Wrocław, Łódź, Warszawę do Terespola.

Druga z Cieszyna, przez Piotrków, Łódź do Gdańska.

Pierwszej używają Czesi, Węgrzy, w tym roku Austriacy. Drugiej, tej z Gdańska, przede wszystkim Skandynawowie. Uderzenie zagranicznych turystów na Polskę rozwija się z południa i północy. Przechodzi przez Łódź. Turysta śmiga łódzkimi ulicami pełnym gazem. Ale i często się zatrzymuje. Wtedy się rozgląda. Także rozmawia, choć z pewną rezerwą. Licho wie co to za kraj. Powiadają, że komunistyczny. Nie wygląda na to. Dzieci ubrane w białe szatki trzymają, jak w Neapolu, świece w rękach i z powagą kroczą do kościoła za jeszcze bardziej zaaferowaną matulą. Dzwony biją, lud się modli. O cóż więc chodzi?

Jaki to kraj, jakie miasto?

Niech powiedzą o tym nasi goście z

Dalszy ciąg na str. 4

CECYLIA DUNINOWA

Wiosna w Holandii

Nie ma chyba drugiego kraju na świecie tak dalece stworzonego przez ludzi, jak Holandia. Bezustanna, odwieczna walka jaką człowiek toczy tu z morzem i wodą przekształciła w ciągu minionych stuleci piaszczyste i podmokłe tereny w urodzajny, kwitnący kraj. Nowe ziemie wyrywa się morzu. Ten najbardziej nizinny kraj Europy, położony jest w dużej części poniżej jego poziomu, a tereny depresyjne, czyli poldery, są nieustannie odwadniane. Olbrzymi obszar wody Ijselmeer, którego osuszanie rozpoczęto w 1920 roku, dał w rezultacie ponad 200 tys. ha nadzwyczaj urodzajnej ziemi.

Holandia to kraj wiatraków, kanałów, pól kwiatowych i sabotów. Charakterystyczny krajobraz holenderski, to nieskończone, zielone równiny polderów, pocięte równiutko wstążeczkami kanałów, nad którymi pochylają się romantyczne sylwetki wiatraków, tych nieodłącznych pomocników człowieka w walce z wodą. W zasadzie nie spełniają one już swej zaszczytnej funkcji; zastąpiły je elektryczne pompy. Jest ich jednak jeszcze ponad tysiąc, pieczołowicie strzeżonych i konserwowanych. Za symbolicznego guldena można taki młyn od państwa wynająć, ale z obowiązkiem pełnej odpowiedzialności za jego stan. Część z nich stanowi obiekty turystyczne, część zaś po pełnej adaptacji bardzo luksusowe mieszkania prywatne.

CZYM SIĘ MARTWIĄ HOLENDRZY?

Na przykładzie tego maleńkiego państwa — zajmuje ono zaledwie 33 tys. km kw. — o którym sami Holendrzy mówią: „Nasze mapy są większe od kraju" — można zaobserwować wielki problem, który, być może, grozi i innym krajom świata — przeludnienie. Holandia liczy obecnie 12 mln ludności i jest jednym z najgęściej zaludnionych krajów na świecie. Na kilometr kw. przypada tu 355 mieszkańców i chociaż osusza się tu coraz nowe tereny, emigracja, szczególnie do Stanów Zjednoczonych i dominiów brytyjskich, jest tu jedynym wyjściem z impasu. W życiu codziennym konsekwencje przeludnienia towarzyszą każdemu obywatelowi tego państwa. Problem numer jeden — to horendalne ceny mieszkań i ogromne kłopoty z ich zdobywaniem. Do dziś, a więc 20 lat po

Dalszy ciąg na str. 3

ze ŚWIATA

Wydarzenia algierskie: pozbawienie Ben Belli wszystkich funkcji państwowych i jego nieznany los, przejęcie władzy przez Radę Rewolucyjną z Bumedienem na czele i demonstracje probenbellowskie, gorączkowe rozmowy na temat zapowiedzianego uprzednio na dzień 29 czerwca szczytu afroazjatyckiego — wszystko to niemal bez reszty wypełniło cały ubiegły tydzień Algieria znowu, jak przed laty, znalazła się w centrum zainteresowania opinii światowej.

Mimo, iż od zamachu stanu upłynęło już kilkanaście dni — trudno w sposób jednoznaczny określić następstwa przewrotu. Ale o wszystkim po kolei...

Algierski dziennik „El Mudżahid" tak próbuje wyjaśnić tło puczu:

„Nikt nie może zaprzeczyć, że ten człowiek (mowa o Ben Belli — przyp. W. S.) chciał być jednocześnie szefem państwa, premierem, sekretarzem generalnym Biura Politycznego, ministrem spraw wewnętrznych, informacji, planu..."

W podobnym kierunku idą oświadczenia przywódców puczu. Tak więc stwarza się wrażenie, że polityka algierska nie ulegnie zmianie, że chodzi tu tylko o zmianę człowieka. Fakty jednak przeczą tym deklaracjom. Nie jest przecież przypadkiem, że pierwsze poparły zamach organizacje, wypowiadające się przeciwko socjalizmowi i za poszanowaniem przywilejów kapitału.

W jednym z artykułów wstępnych „L'Humanite" czytamy na ten temat: „Żaden szef rządu nie jest wolny od krytyki... może on zostać wyzwany, aby odpowiedział za swoje czyny przed narodem i jego przedstawicielami i zmuszony do ustąpienia, jeśli znajdzie się w mniejszości. Lecz uciekanie się do puczu pozwala przypuszczać, że przeciwnicy Ben Belli nie mieli poparcia ludowego".

Kim jest przywódca zamachu — Huari Bumedien?

O jego poglądach wiemy właściwie bardzo niewiele. Ścisły jego sojusz z Ben Bella datuje się od roku 1962 — słynnego huntu algierskiego okręgu wojskowego — wilai 4 Wojska dowodzone wówczas przez płk. Bumedien torowały Biuru Politycznemu FLN drogę na Algier. „Ten milczący i tajemniczy dowódca armii — pisze obecnie AP — czekał prawie trzy lata na zerwanie z Ben Bellą. Jego sojusz z b. prezydentem był chwilowy".

Bumedien — zdaniem wielu komentatorów — reprezentuje partyzancko-rewolucyjny trzon armii. Cechuje go silny nacjonalizm, idący w parze z dużą religijnością. Jest wrogo nastawiony do Stanów Zjednoczonych. Uważa podobno, że Ben Bella poszedł na zbyt wielki kompromis w rozmowach z Paryżem.

Cała ta charakterystyka oparta jest jednak więcej na domysłach niż wypowiedziach Bumedjena, ponieważ unika on ujawniania swoich poglądów.

Niektóre dzienniki zachodnie przypominają jednak jego wypowiedź w której to na temat swoich przekonań miał podobno oświadczyć: „nazywajcie to marksizmem, socjalizmem lub castryzmem — jak chcecie. Ja pragnę poprawić los chłopów".

Jak w chwili przygotowywania materiału do druku przedstawia się sytuacja w Algierii?

Charakteryzują ją głównie burzliwe i masowe demonstracje przeciwko nowemu reżimowi. W tych dniach ukazała się również deklaracja „grupy członków FLN", która nawołuje do walki z Bumedienem, stwierdzając, iż istota zamachu stanu nie jest próbą naprawy błędów, których dotychczasowa polityka z pewnością nie była pozbawiona, lecz próbą złamania rewolucji socjalistycznej. Zamach — czytamy w tej deklaracji — podyktowany był obawą przed realizacją dalszego etapu reformy rolnej, wzrostu wpływów związków zawodowych, dalszej radykalizacji młodzieży, niechęcią do procesu emancypacji kobiet...

Deklaracja ta wysuwa hasła: wyjaśnienia antysocjalistycznego charakteru przewrotu, odmowy współpracy z nowym reżimem, uwolnienia Ben Belli i więźniów politycznych, poszanowania zasad konstytucji i obrony rewolucji socjalistycznej.

Trudno w tej chwili przewidzieć, jak dalej rozwijać się będzie sytuacja w Algierii. O trwałości przewrotu — jak wydaje się — decydować będą obecnie dwa czynniki, postawa wojska i siła partii.

Tymczasem są już pierwsze międzynarodowe rezultaty zamachu. Po przekładaniu z dnia na dzień narady ministrów spraw zagranicznych krajów Azji i Afryki, która miała przygotować spotkanie na szczycie, ostatecznie do rozmów na tym szczeblu nie doszło. Zebrali się natomiast ambasadorowie zainteresowanych krajów i podjęli decyzję o przełożeniu terminu konferencji. Jako nową datę wymienia się październik br. Fakt ten można uznać za porażkę Bumediena, który dokładał wielu starań, by pierwotny termin utrzymać. Podobną opinię wyrażały i inne bezpośrednio zainteresowane kraje, traktując wydarzenia algierskie jako sprawę wewnętrzną.

Trzeba w tym miejscu zwrócić uwagę Czytelników na fakt, że przewrotu w Algierii dokonano właśnie tuż przed zapowiedzianą datą konferencji krajów Azji i Afryki. Nie jest to z pewnością przypadek. Popularność Ben Belli w krajach trzeciego świata wyznaczała mu na tej konferencji dużą rolę.

Rozwój wydarzeń w Algierii śledzić będziemy w najbliższych dniach z wielkim zainteresowaniem. Może przyniosą one pełniejszą odpowiedź na liczne pytania, które dziś nurtują opinię światową.

W. SŁAWSKI

PS. Z innych wydarzeń ostatniego okresu wymienić trzeba kolejną zmianę na stanowisku szefa sajgońskiej kliki. Nguyen Cao Ky jest już 10 czy 12 (zliczyć nie może nawet prasa amerykańska) premierem rządu południowowietnamskiego po obaleniu Diema. Jego pierwszym krokiem było zerwanie stosunków dyplomatycznych z Paryżem. Motywy kroku: gniew Waszyngtonu i chęć zastraszenia elementów profrancuskich w Wietnamie.

Kronika TYGODNIA

NIEDZIELA, 20 czerwca

■ Prasa zachodnia opublikowała bardzo poufne informacje jakie przedostały się z Pentagonu o możliwości bezpośredniego udziału żołnierzy Bundeswehry w działaniach wojennych w Wietnamie.

■ W związku ze zbliżającą się konferencją międzyamerykańską w Rio de Janeiro, na której rząd Stanów Zjednoczonych zamierza nalegać na utworzenie silnych sił międzyamerykańskich w oparciu o precedens dominikański, w wielu krajach kontynentu Ameryki Łacińskiej dają się słyszeć głosy stanowczego sprzeciwu wobec tej koncepcji. Poza Meksykiem ideę sił zbrojnych OPA odrzucają Urugwaj, Peru i Chile.

PONIEDZIAŁEK, 21 czerwca

■ Przywódca mniejszości amerykańskiej w Senacie Dirksen oświadczył, że w najbliższym czasie siły zbrojne USA w Południowym Wietnamie będą zwiększone do 120 tysięcy żołnierzy.

■ W Budapeszcie obradowało plenum Węgierskiego Związku Dziennikarzy. W czasie obrad plenum zabrał głos członek Biura Politycznego KC WSPR Istvan Szirmai. Podkreślił on w swym wystąpieniu potrzebę udoskonalenia informacji prasowej. Szczera, otwarta i wszechstronna informacja — stwierdził mówca — stanowi nieodłączny aspekt demokracji.

■ Generalny inspektor Bundeswehry generał Tretner oświadczył, że armia zachodnioniemiecka osiągnęła już taką siłę uderzeniową, jaką dysponował były Wehrmacht.

* *Wieczność w polityce nie trwa dłużej, jak 20 lat.*
EDGAR FAURE

WTOREK, 22 czerwca

■ Senator Robert Kennedy wezwał w swym oświadczeniu rząd amerykański do nawiązania rokowań z Chińską Republiką Ludową celem niedopuszczenia do rozpowszechnienia broni jądrowej.

■ Wydarzenia algierskie są nadal przedmiotem licznych komentarzy i sprzecznych opinii prasy światowej. Miara zamieszania w ocenie tych wydarzeń może być fakt, że aktualny minister spraw zagranicznych Ghany i przewodniczący XIX Sesji ONZ Alex Quaison-Sackey zapytany o ocenę sytuacji w Algierii, odpowiedział: „Sam chciałbym wiedzieć, co się tam stało, ale obawiam się, że takich mądrych jeszcze nie ma".

■ Grupa komunistów austriackich skupiona wokół czasopisma Rote Fahne, powołała do życia „komitet przygotowawczy dla utworzenia partii komunistycznej w Austrii". Działacze ci stoją na stanowisku, iż obecnie istniejąca komunistyczna partia przestała być w wyniku swego XIX Zjazdu partią marksistowsko - leninowską.

ŚRODA, 23 czerwca

■ Amerykańscy eksperci od spraw atomowych przewidują, iż liczba państw dysponujących bronią jądrową wzrośnie do roku siedemdziesiątego do 6, zaś do 1980, do 12 — 20.

■ W czasie uroczystej sesji, poświęconej 20 rocznicy utworzenia ONZ, w której udział wzięli przedstawiciele 114 krajów członkowskich, przemówienie wygłosił sekretarz generalny U Thant. U Thant wezwał wszystkie państwa członkowskie do ratowania tej międzynarodowej organizacji od śmierci naturalnej i klęski.

■ Powszechny Związek Chińczyków, zamieszkujących w Wietnamie, wydał oświadczenie wzywające obywateli narodowości chińskiej z północnego i południowego Wietnamu do wzięcia czynnego udziału w walce narodu wietnamskiego przeciwko agresorom amerykańskim i ich popleczn kom.

CZWARTEK, 24 czerwca

■ W Związku Radzieckim przebywał z wizytą oficjalną szach Iranu Reza Pahlavi. Irański mąż stanu oświadczył, iż celem jego wizyty jest umocnienie istniejących przyjaznych stosunków między obu państwami. Przewodniczący Prezydium Rady Najwyższej ZSRR A. Mikojan, podkreślając doniosłość wizyty irańskiego gościa stwierdził: „Przywiązujemy dużą wagę do oświadczenia rządu irańskiego, że Iran nie pozwoli na utworzenie na swoim terytorium obcych baz rakietowych i nigdy nie da się wciągnąć do agresji przeciwko Związkowi Radzieckiemu".

■ Ponad 6 miliardów dolarów przyniósł Stanom Zjednoczonym eksport uzbrojenia w ciągu ostatnich 4 lat. Amerykanie wypar li z wielu rynków światowych Anglików i Francuzów i jak sugeruje prasa zachodnia, eksportują tam broń przestarzałych typów.

■ Równolegle ze znaczną poprawą zaopatrzenia i podjęciem produkcji wielu nowych urządzeń i przedmiotów codziennego użytku, przemysł i handel radziecki zwracała coraz baczniejszą uwagę na sprawy reklamy.

PIĄTEK, 25 czerwca

■ Komitet Przygotowawczy konferencji krajów afroazjatyckich powziął decyzję o odroczeniu na czas nieokreślony zarówno konferencji ministrów spraw zagranicznych, jak też spotkania szefów państw Afryki i Azji, które miało przejść do historii pn. „Drugiego Bandungu".

■ W wyniku badań prowadzonych przez węgierski GUS, mających na celu ustalenie, czy fachowcy zatrudniani w gospodarce narodowej uzyskują stanowiska zgodne ze swoimi kwalifikacjami, okazało się, iż w rolnictwie, które odczuwa brak sił fachowych, na 10 tysięcy inżynierów-rolników, w zawodzie tym pracuje tylko 4.500.

* *Głupstwa, których nie popełniliśmy w młodości nie zastąpią mądrości wieku dojrzałego.*
PABLO PICASSO

■ „Stwierdziłam ze zdumieniem — pisze o historii KPCh w jednym ze swych listów wydanych w Pekinie w zbiorku „Listy z Chin" znana dziennikarka amerykańska Anna Luiza Strong — że w dużej części była to historia błędów i płynących z nich nauk. Takie stanowisko było dla mnie czymś absolutnie nowym. W Ameryce słyszałam wciąż, że jesteśmy krajem, któremu sam Bóg powierzył misję wyzwolenia i ulepszenia świata. Tymczasem w Chinach „popełniano błędy, cierpiano wskutek nich, analizowano je i w ten sposób torowano drogę do zwycięstwa".

SOBOTA, 26 czerwca

■ Tygodnik „Rinascita" publikuje recenzję z książki pt. „Po Chruszczowie", której autorem jest wieloletni korespondent włoskiej prasy komunistycznej w Moskwie Giuseppe Boffa. Autor recenzji wskazuje, iż Chruszczow osiągnął optymalny punkt swego prestiżu i powodzenia w 58 roku, po czym jego gwiazda zaczęła blednąć aż do momentu ustąpienia. Następowało to nie ze względu na jakiś błąd techniczno - organizacyjny, lecz z powodu tendencji do reagowania na trudności kolejno—bądź ospale, bądź pośpiesznie, co było na dłuższą metę niezrozumiałe dla radzieckiej opinii publicznej. Jako przykład typowy wymienia się sprawy kultury.

* *Wielką przygodą jest pisanie, lecz większą czytanie.*
TENNESSEE WILLIAMS

■ Przebywający obecnie w NRF minister gospodarki leśnej Rumunii, Suder, zaprosił oficjalnie ministra gospodarki NRF do odwiedzenia Bukaresztu. Wizyta bońskiego ministra gospodarki w Rumunii byłaby pierwszą wizytą zachodnioniemieckiego ministra w krajach socjalistycznych.

■ Prezydent Ho Chi Minh o „pokojowej misji" premiera brytyjskiego Wilsona: „Pan Wilson nie wywiązał się we właściwy sposób ze swych zobowiązań, jako współprzewodniczący konferencji genewskiej z 1954 roku. Nie może on podejmować rokowań pokojowych, ponieważ sam popierał amerykańską politykę agresji i rozszerzenia wojny".

POLONICA

W AUSTRII O SPRAWACH POLSKICH

Ukazał się kolejny numer czasopisma (już 33 od chwili jego istnienia) pn. „Polen in Wort und Bild" (Polska w słowie i obrazie), wydawany przez Towarzystwo Austriacko-Polskie. Numer ten ukazał się w dwu językach: polskim i niemieckim, jest bogato ilustrowany, na pięknym bezdrzewnym papierze, zawierający wiele ciekawych artykułów. Na czoło numeru wysuwa się artykuł austriackiego ministra oświaty, dra Theodora Piffl-Perčevića pt. „Stosunki kulturalne Austrii z Polską". Jak wiadomo przed niedawnym czasem minister Piffl-Perčević bawił w Polsce na zaproszenie naszego ministra kultury Lucjana Motyki. Odnotujmy również, że w Wiedniu ukazała się nakładem Europa-Verlag, książka Tadeusza Manteuffla pt. „Die Geburt der Ketzerei" (Narodziny herezji), o której bardzo dobrą recenzję przeczytaliśmy w dzienniku wiedeńskim „Die Volksstimme" z dnia 19 czerwca br.

RÓŻEWICZ W NOWYM PIŚMIE

We Frankfurcie nad Menem (NRF) ukazał się pierwszy numer nowego czasopisma pt. „Kursbuch", którego redaktorem został wybitny poeta i krytyk niemiecki Hans Magnus Enzensberger. W numerze tym, bardzo ciekawym, na uwagę zasługują: artykuł Martina Walsera „Unser Auschwitz" (Nasz Oświęcim) i poemat Tadeusza Różewicza „Non Stop Show" w doskonałym, jak zawsze, przekładzie Karla Dedeciusa. Z zapowiedzi rzeczy, które będą drukowane w numerach następnych, dowiadujemy się, że ukażą się dalsze utwory Tadeusza Różewicza. Bardzo nas to cieszy, ale przecież są w Polsce inni jeszcze autorzy, na których również warto zwrócić uwagę. Polecamy ich uwadze redakcji „Kursbuch".

ANKA KOWALSKA W CZESKIEJ GAZECIE

Pisma czeskie drukują w ostatnich latach bardzo dużo rzeczy polskich. W tygodniku „Kulturni tvorba" (z 17 czerwca br.) ukazał się wiersz Anki Kowalskiej (nie mylić z Anną Kowalską — prozaikiem i Anielą Kowalską — historykiem literatury). Wiersz pięknie przełożył na język czeski zasłużony tłumacz Ivan Ružička. Tytuł wiersza „Rozcesti noci".

Dalszy ciąg ze str. 1

wojnie, nie udało się zlikwidować barek mieszkalnych na kanałach. Bogatsi, którzy opuszczają tę „mokrą lodówkę", zostawiają ją w spadku następnym lokatorom, dla których i ten kawałek dachu nad głową jest pewnym awansem. Drugi problem, to ostateczne przeciążenie ruchem kołowym wszelkich arterii komunikacyjnych, co paraliżuje możliwość swobodnego poruszania się w obrębie miasta, a także kraju. Konieczne było tu wybudowanie specjalnych dróg dla pojazdów dwuśladowych, co rozładowało trasy samochodów. Są to jednak półśrodki. Na wąskich chodnikach, zawalonych do niemożliwości rowerami, przechodzień czuje się zupełnie nie na miejscu. Trzeci problem to sprawy dotyczące bezpośrednio tzw. czasu wolnego człowieka. Urbanizacja i rozbudowa przemysłu pozbawiają ludzi możliwości kontaktu z przyrodą. Odwieczna walka cywilizacji z naturą doprowadziła w Holandii do, ciekawego z punktu widzenia psychologii, objawu zmęczenia techniką i tęsknoty do ciszy i samotności, a nawet prymitywu niefałszowanej natury.

GDZIE MIASTO, A GDZIE WIEŚ...

Przeciętny turysta nigdy nie wie, w którym miejscu kończy się jedno miasto, a zaczyna inne i gdzie zaczyna się np. wieś, która z kolei gubi się w przedmieściach sąsiedniego miasta. Te duże i te małe miasta trudno od siebie odróżnić. Wolna przestrzeń między miastami kurczy się w Holandii zastraszająco. Holendrzy dowcipnie informują „...zapamiętaj tę łąkę, jak będziemy wieczorem wracali, wypijemy tu drinka w nowej restauracji...". Tak zwane łono natury sprowadza się tu do oglądania z okien samochodu krajobrazu, czyli pól kolorowych od kwiatów. Terenem takich wypraw jest często zachodnia Fryzja, gdzie znajdują się jeszcze zabytkowe dworki oplecione bluszczem, stare, rzadko spotykane typy wiatraków, polne drogi, gdzie młodzież konno wyjeżdża na niedzielne przechadzki, gdzie piękno holenderskiego „flachlandu" trwa nieskażone w swej pierwotnej formie. Ale na horyzoncie wielkim półkolem zamyka ten krajobraz cywilizacja. Drugi sposób wypoczynku to morze. Dla każdego Holendra potęga morska jego ojczyzny i tradycje historyczne wielkich morskich wypraw są powodem dumy narodowej. Obowiązkiem nieomal patriotycznym jest więc kontemplowanie morza i wdychanie jego ożywczego tchnienia. Wieczorami, bez względu na porę roku, nosy niezliczonych aut dobijają do betonowego nadbrzeża Scheveningen. Poprzez opuszczone szyby samochodu, w wielkim milczeniu i pełni wewnętrznego spokoju, wpatrujemy się w rozległy, niczym nieograniczony horyzont Noord Zee. Ten widok, oglądany w początkach marca, kiedy to jeszcze zimny wiatr ze śniegiem nie pozwolił na żadne letnie reminiscencje, więcej mówił o ludziach i kraju, niż oklepane frazesy barwnych folderów. Kontemplacja lasu, żeby był nie wiem jak mały i przerzedzony (Polakowi byle lasem nie zaimponujesz), odbywa się zupełnie tak samo, tylko że tu poza tym można zapłacić karę. Jeżeli twoje auto, wciskając się w szereg aut innych miłośników natury, zaparkuje o 15 cm głębiej niż to jest przewidziane, policjanci wyrastają jak spod ziemi. Słuszność, jak zwykle, jest po stronie władzy — nie wolno niszczyć lasu.

Fot: Edward Przybyłowicz — AFIAP

KWIATY

Holandia jest krajem kwiatów. Pierwsze tulipany witają turystów na peronach dworców kolejowych i lotniska, bez względu na porę roku. Kult kwiatów, to nie tylko namiastka kontaktów z naturą — uprawa cebulek kwiatowych ma podstawowe znaczenie dla gospodarki holenderskiej, jako najpoważniejszy w tym kraju artykuł eksportowy. Najpiękniejsze plantacje kwiatów znajdują się w okolicach Haarlemu i Leidy. Już od momentu kwitnienia tereny te są dostępne również dla turystów, gdzie znajduje się, specjalnie dla celów turystycznych, przygotowany, ogromny park, a raczej żywy ogród kwiatowy Keukenhof, obejmujący ponad 25 ha kwitnących narcyzów, hiacyntów, tulipanów i innych trudnych do nazwania odmian kwiatów.

Kwiaty są nieodzownym, dekoracyjnym elementem holenderskich mieszkań. Łatwo to sprawdzić wychodząc na wieczorny spacer w stronę spokojnych dzielnic miasta. Holendrzy nie mają nic do ukrywania, wręcz przeciwnie — żyją trochę na pokaz. Ogromne, szerokie okna bez firanek przybliżają życie prywatne i szczegóły typowego wyposażenia wnętrza, a często także orientują w upodobaniach gastronomicznych rodziny. Schemat jest wspólny — kilka niskich, miękkich foteli, między nimi długi stolik, na którym kieliszki i filiżanki do kawy informują przechodniów, w którym momencie domowej sjesty znajduje się rodzina. Stojąca lampa oświetla gazetę w rękach pana domu i migające druty gospodyni. W miedzianych wazach i donicach kwitną hiacynty. Złociste fryzowane tulipany zwieszają ciężkie główki z serwantki, zastawionej srebrem i porcelaną. Trudno znaleźć właściwą polską nazwę na taki pokój, który znajduje się obowiązkowo w każdym holenderskim domu, a służy rodzinie jedynie jako miejsce wypoczynku i „wystawy". Tak, tu właśnie wystawia się wszystko co zostało ostatnio do domu nabyte. Nowa serweta czy obraz sprawiają, że pozostawia się zapalone światła na czas nieobecności gospodarzy. Przy znanej oszczędności holenderskiej, gest taki liczy się wysoko.

A LUDZIE?

Właściwości psychiczne Holendra z góry wykluczają możliwość konfliktów w stosunkach międzyludzkich. Pełną konsekwencją tej cechy w życiu prywatnym i społecznym jest ogromnie miła dla przybysza, serdeczna, atmosfera życzliwości dla bliźniego w tramwaju, pociągu, sklepie, a także spontaniczna chęć bezpośredniej pomocy. Ta ogólna życzliwość jest chyba tym, co najbardziej wyróżnia Holandię spośród innych krajów Europy, a także tym, co zapewnia taką obfitość turystów. Warto podkreślić, że polska wizytówka wyzwala podwójną dozę sympatii i uśmiechu. Miło jest słyszeć, jak żywo pamięta się tutaj oswobodzenie południowej części Holandii przez polskich żołnierzy. Uratowali oni ten piękny kraj przed planowanym przez Niemców całkowitym zatopieniem. Do dziś, co roku, odbywają się w Bredzie uroczystości, będące wielką manifestacją pamięci i przyjaźni do naszego narodu.

Na rozwój charakteru mieszkańców Holandii decydujący wpływ wywarła owa nieustanna walka z żywiołem morskim. Holender, to człowiek milczący, bardzo zrównoważony, małomówny, niezbyt wylewny w okazywaniu uczuć, ale niezwykle pracowity, wytrwały, doskonały organizator i wierny ojciec rodziny. Model rodziny holenderskiej należy zaliczyć do najbardziej tradycyjnych. Pozycja kobiety ciągle jeszcze oparta jest na pełnej zależności finansowej i życiowej od tzw. głowy domu.

HOLENDERSKI PIĄTEK

W życiu codziennym uderza przybysza nie tylko wielkie przywiązanie do starej kultury i języka, ale przede wszystkim niezwykłe zamiłowanie do porządku i czystości. Domy holenderskie są tego najlepszym przykładem. Są one wprawdzie przeznaczone tylko na jedną lub dwie rodziny (typ bloków mieszkalnych wprowadzono dopiero po wojnie), ale frontony domów, schodki, drzwi wejściowe (zawsze od ulicy, nie ma podwórek) podlegają takiej samej pielęgnacji jak mieszkanie. Biała olejna farba jest tu podstawowym artykułem gospodarskim. Domy wraz z futrynami maluje się tu przeciętnie 2 razy do roku. Drzwi wejściowe to wizytówka i pierwsza informacja o stanie zamożności rodziny. Tak wyczyszczonych aż do białości okuć i szyldzików nie można nie zauważyć. Piątek jest w całej Holandii dniem mycia okien, schodków, sztachetek, płyt chodnikowych i wszystkiego, na czym może zatrzymać się oko ludzkie. Mycie chodników nie jest znowu taką przesadą przy tej ilości psów — one „to" robią wszędzie.

Głęboka prowincja i wielkie miasta mają ten sam harmonogram zajęć, uświęcony wszechpotężną tradycją, do dziś kierującą rytmem życia społecznego Holandii. Stereotypy obyczajowe i moralne tego kraju nie dopuszczają żadnych odchyleń, pod groźbą poniesienia pełnych konsekwencji... towarzyskich. (Oj, skąd my to znamy?). Zachwycanie się porządkiem i czystością w kraju, gdzie innego stanu rzeczy się nie spotyka, nie należy wcale do grzeczności, natomiast szczytem galanterii jest np. przepuszczenie kobiety przodem. Gest ten kojarzy się w umysłach Holendrów ze zwyczajami w rodzinie królewskiej. O całowaniu kobiet w rękę w ogóle nie ma mowy. Granadą cmoknonsensu w Europie jest jeszcze tylko Polska.

IK VERSTA GEEN HOLLANDSCH

„Nie rozumiem po holendersku, proszę mówić powoli". Ta stereotypowa formułka, od której zaczynamy zwykle praktyczne przygotowania językowe do podróży — w Holandii nie ma zastosowania. Zakłada się tu, i słusznie, że wielu ludzi odwiedzających Holandię nie odebrało wykształcenia w zakresie języka holenderskiego, co nie znaczy, że mogło by im to utrudnić pobyt w tym kraju. Znajomość trzech podstawowych języków jest w Holandii naprawdę powszechna. Język holenderski, używany częściowo w Belgii jako flamandzki, zbliżony jest do narzecza niemieckiego, tzw. Plattdeutsch (Holendrzy są pochodzenia germańskiego, powstali ze zlania się szczepów fryzyjskich, frankońskich i saskich), a więc język niemiecki jest, rzecz jasna, dla Holendra najłatwiejszy, ale... najmniej lubiany. Holendrzy mają znacznie lepszą pamięć niż... Anglicy i nic co niemieckie nie jest w tym kraju popularne. W hotelach, biurach, sklepach małych i wielkich, wszędzie mówi się po angielsku. Niejednokrotnie słyszy się też język francuski, ale ten sprawia Holendrom kłopoty natury fonetycznej — jest dla nich za miękki. Powszechna znajomość języków jest wynikiem obowiązku studiowania trzech języków obcych już od czwartej klasy szkoły podstawowej. A także fakt, że warunkiem absolutnym jest znajomość języków obcych we wszystkich placówkach użyteczności publicznej, a więc tam gdzie może zaistnieć możliwość kontaktu z turystą. Bardzo ułatwia też poruszanie się po kraju zasada kilkujęzycznych napisów ostrzegawczych, czy informacyjnych.

A jednak warto się nauczyć kilku holenderskich słów, które nie zabrzmią tak dobrze w żadnym innym języku — Dank u wel. Tot vederziens.

CECYLIA DUNINOWA

ANDRZEJ MAKOWIECKI

OPOLE 65

Trzeci więc Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w mieście strojnym, odświętnym, pełnym kwiatów i flag.

19 czerwca, na galowym koncercie Radia i Telewizji, dwie połączone orkiestry Rachonia i Kurylewicza, ubrane w te same, wytworne, granatowe stroje, tworzące zatem jeden gigantyczny zespół, akompaniują solistom i robią to dobrze, ale gusty teraz inne, więc publiczność wali w dłonie z małym entuzjazmem, zaś siedzący obok mnie nastolatek, o włosach długich i sczesanych na czoło, niecierpliwi się okropnie, że zabrakło chłopców z gitarami.

W robocze dni festiwalu, wolne od kamer telewizyjnych i mikrofonów Polskiego Radia, scena amfiteatru gościła Czerwono i Niebiesko-Czarnych oraz zespół „Tajfuny". Wówczas radość na widowni duża. — Czyli presja Beatlesów wciąż ogromna. Gitary, proszę państwa! Gitary i nostalgiczny, zestrojony w trójgłosy śpiew, wsparty o leniwe, ciężkie uderzenie bębna.

Niedawne filary „kolorowych" — saksofoniści Bizon i Wander — wypuścili stery z rąk. Wszelka blacha poszła na bok; inaczej się gra, inaczej śpiewa; moda teraz na Liverpool — co odmienne, trąci myszką... nawet Big-Band Pagartu o świetnym nowoczesnym brzmieniu, kapitalnych instrumentach Gulgowskiego, Namysłowskiego, dyrektora Bogdanowicza, w składzie, z którego można by stworzyć co najmniej trzy czołowe zespoły Europy, nawet on nie mógł wzbudzić entuzjazmu, ale nie upoważnia to nikogo do bezmyślnego powtarzania za pewnym dyletantem (dyletant ów zabrał głos na konferencji prasowej, gdzie niezbicie udowodnił w czterech zdaniach, że Big-Band L. Bogdanowicza gra za głośno, że ma nudne aranże i że cierpi na tym, o bogowie! — polska piosenka) nędznych plotek kuluarów.

No a teraz o samej piosence. Ponad sto utworów i tylu wykonawców. Wykonawców w tym roku nie klasyfikowano w zasadzie. To dobrze. Niektórym dano satysfakcję w postaci niepunktowanych nagród. Też dobrze. Cwynar, Młynarski, Zębaty, Janowska i Skarżanka na pochwały zasłużyli. I jeszcze paru innych. Ale dosłownie paru — German, Sobczyk, Korda, Szczepanik (nagroda publiczności) i Chyła, Alibabki i Kwartet Warszawski (znowu nagroda publiczności — magnetofon, który warszawianie ofiarowali z kolei dziewczętom z Uniwersytetu Ludowego).

Z piosenkami było nieco gorzej. Jeśli prawda, że zaprezentowano ich ponad sto, to wątpliwości ulegać nie może, że osiemdziesiąt nie przeżyje swoich twórców, chyba że umrą za tydzień. Ckliwe, płytkie melodie na prastarych motywach, grafomańskie, płodzone widać w bólu i pośpiechu teksty... nie pomoże tu najlepszy aranż, najpiękniejsza suknia i garnitur, ba, nawet najlepsze wykonanie. Dość dziwne, że kilka takich tekstów i melodii zdobyło prawo startu na koncercie galowym, że ku zdumieniu publiczności powtarzano je uparcie. Dziwne także, że jeden z tych utworów zdobył drugą nagrodę w kategorii piosenek rozrywkowych. Pomijając już wątły walor treściowy tego dzieła i nędzną melodykę podejrzewa się, iż zostało więcej niż zainspirowane przez pewną piosenkę obcą.

Jeśli piosenek było ponad sto, jeśli osiemdziesiąt z tej liczby nie wywarło wrażenia — wina to chyba wstępnych eliminacji nadesłanych utworów. Przeszły do programów koncertowych piosenki „pod jury", „pod Ziemię Opolską" — te więc z ukrytym sprytnie w tekstach komplementem — zabrakło natomiast całego szeregu dobrych albo znakomitych, powstałych na przestrzeni ostatniego roku pozycji, które z powodzeniem mogły domagać się wyróżnień, nagród i popularyzacji. Jak poinformowano nas na konferencji prasowej — nie dopuszczono do konkursu niektórych utworów z Radiowego Studia Piosenki prowadzonego przez Osiecką i Borkowskiego, zabrakło więc wyśmienitego, superdowcipnego „Żorżyka" (muzyka Sent, słowa Młynarski), „Ziuty z Krosna" (Sent — Młynarski), „Samotności" (Konieczny, słowa Leśmiana i Rilke'go) i wielu innych.

Powodem tych pominięć było — jak mi się zdaje — to, że w wypadku włączenia do konkursu dodatkowych pozycji Młynarskiego, Gulgowskiego, Sadowskiego, Abramowa czy Sarta — zabrakłoby nagród bądź nawet wyróżnień dla innych kompozytorów i tekściarzy; to, że pewne nazwiska nie mogły — zdaniem organizatorów — powtarzać się w nieskończoność. Ale teraz pytanie: lepiej by powtarzały się te same nazwiska twórców pod oryginalnym materiałem, czy też może lepiej, aby nazwiska wciąż nowe, oryginalne firmowały stare, oklepane zwroty frazeologiczne i wyświechtane strzępy muzycznych fraz? Dla publiczności, dla samej w końcu polskiej piosenki (słuchali przecież festiwalu obserwatorzy zagraniczni) źle nie jest, gdy powtarzają się nazwiska — wiadomo — talent nie rodzi się na kamieniu, kompozytorów nie może być stu.

III Krajowy Festiwal Piosenki Polskiej w Opolu zorganizowany został przez Towarzystwo Przyjaciół Opola, Komitet do Spraw Radia i Telewizji oraz Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Opolu. Przewodniczącym Komitetu Organizacyjnego był Włodzimierz Sokorski, zastępcami jego: Henryk Tabor (Przewodniczący Prezydium MRN w Opolu) i Karol Musiał (Przewodniczący Zarządu Towarzystwa Przyjaciół Opola). Egida więc znakomita. Jak twierdzą ubiegłoroczni uczestnicy i obserwatorzy opolskiej imprezy — mimo braku (dotkliwego, niestety, braku) szlagierów i przebojów z prawdziwego zdarzenia, w jakie obfitował amfiteatr w latach 63 i 64 — tegoroczny festiwal uznać trzeba za osiągnięcie organizacyjne w stosunku do imprez poprzednich.

„Władze miejskie — czytamy w biuletynie prasowym — uczyniły wszystko, aby Opole wyglądało jak najpiękniej, jak najweselej, aby wszystkim uczestnikom Festiwalu dobrze się u nas mieszkało i bawiło".

To prawda! Uczyniły wszystko. Przystroiły wystawy, rozświetliły lampionami ulice, rozwiesiły transparenty i reklamy, wywalczyły sześćset kwater prywatnych dla tych, których nie mieściły hotele, oddały do wyłącznej dyspozycji gości kawiarnię „Pod Pająkiem" i Klub Młodzieżowy „Ikar" zaopatrzyły teren Amfiteatru w dziesiątki stoisk MHD i PSS, gdzie kupić można było kanapki i dania barowe (smaczne i tanie), zamontowały dach nad estradą Amfiteatru, wydały broszurę: „Opolskie Festiwale Piosenki", wystosowały apel do wszystkich państwowych, spółdzielczych i prywatnych placówek handlowych, gastronomicznych i usługowych aby w pierwszym rzędzie obsługiwały festiwalowych gości. Rzuciły hasło: „Opole najgościnniejszym miastem w kraju".

Otóż to, to właśnie najważniejsze. Okazało się bowiem, że piosenka zmienić może i ludzi, i miasta, zdynamizować atmosferę, rozproszyć klimat nudy i bezładu. To właśnie pozwala wierzyć, że mecenat Opola nad piosenką stanie się tradycją, że dobry mecenat zrodzi dobrą piosenkę.

Cudzoziemiec nad Łódką

Dalszy ciąg ze str. 1

Zachodu, niech mówią co myślą, nie przeszkadzajmy im.

Rzemieślnik z Montrealu w Kanadzie:

— Widziałem człowieka, może to był rzemieślnik, z dużym pakunkiem. Chciał dostać się do tramwaju, żeby załatwić swój business. Nikt mu nie ustąpił i nie zrobił miejsca. Widziałem farmerkę z koszykiem jaj, weszła do tramwaju z największym trudem. Wszyscy spoglądali na nią wrogo jak na intruza, choć farmerka wykonywała swój „job", swoją robotę. To mi się wcale nie podobało. Za to rynek, gdzie stoją takie budy, czy też stragany, jest nadzwyczajny. Czegoś podobnego nigdy w życiu nie oglądałem. Czy każdy rzemieślnik może mieć na tym rynku swoje własne stoisko?

Nauczyciel z Paryża:

— Skąd wy macie tu tylu Murzynów i Arabów? O ile wiem, nigdy kolonii nie mieliście. To są studenci, n'est-ce pas? To bardzo interesujące. A jak oni mówią po polsku?

Drobny kupiec z Glasgow:

— Przyjrzałem się pracy ekspedientek w tych państwowych sklepach. Pracują za wolno, zastanawiają się czy zrobić ten krok do klienta, czy nie zrobić. Przyjrzałem się dobrze półkom, wcale nie są puste, są raczej pełne. Ja bym powiedział, że kolejki przed ladami biorą się nie dlatego, że brak towaru, albo brak sklepów, ale że ekspedientkom brak „efficiency", brak im wydajności, uczciwego podejścia do pracy. Gdyby klienci byli obsługiwani nowocześnie, szybko, tak jak się należy przez fachowy personel, wtedy kolejki znikłyby natychmiast. Te dziewczęta w sklepach są „absent-minded", są nieobecne duchem. Szkoda, bo wyglądają mi na bystre i inteligentne. One mają chyba bardzo mało wymagających szefów.

Turysta z Holandii, około 50 lat:

— Miałem ze sobą „Exacte - Varex" najnowszej produkcji. Sam nie wiedziałem jak się obchodzić z tym aparatem. Poszedłem więc do warsztatu przy głównej ulicy. Fotograf tłumaczył, tłumaczył, pokazywał co i jak i nie wziął ani centa. Nie chciał wziąć. To jest zdumiewające. Pracował całą godzinę i nie policzył sobie ani centa. Nigdy tego nie zapomnę, to mi się zupełnie nie mieści w głowie...

* * *

Drugą grupę obcokrajowców, którzy na pewien czas zarzucają kotwicę w Łodzi, stanowią eksperci i handlowcy. W Grand — Hotelu przebywa codziennie 60—70 cudzoziemców. Niemcy są hałaśliwi. Chińczycy zawsze z notesem w dłoni. Arabowie są stale obstawieni przez „pszczółki", które szczebiczą. W niektórych fabrykach spotyka się Anglików. To fachowcy najwyższej klasy. Uczą nas fachu jak uczyli za czasów Reymonta. Ci „ingliszmeni" otwierają jednak oczy. Zorientowali się, że w dalekiej Polsce szybko dochodzi do głosu nowe pokolenie już po uczelniach, rokujące duże nadzieje.

Anglik, specjalista od włókien sztucznych:

— My gratulations, macie uzdolnionych techników. W Calais, we Francji uruchamialiśmy podobny zakład w zeszłym roku. Przeleciał cały miesiąc zanim udało się nam uzyskać tam włókno dobrej jakości. W waszej „Anilanie" bezbłędne włókno popłynęło już po dwóch dniach. To jest nadzwyczajne. Lubię pracować ze zdolnymi ludźmi. Muszę powiedzieć, że Łódź jak na miasto fabryczne jest very nice, jest czyste, nad podziw schludne. Jednego tylko nie mogę zrozumieć. Za miastem drogi są przyzwoite, asfalt, kostka, beton, ale w samym mieście niektóre jezdnie są straszliwe, kocie łby, jak w średniowieczu. Czemu wasz magistrat nie załata dziur na ulicach, nie ma robotników, czy co? Gdy pada deszcz i w tych dziurach stoi woda, wtedy miasto jest dużo mniej przyjemne.

Hurtownik z NRF:

— Za każdym razem kiedy wpadam do tego miasta spotyka mnie jakiś wypadek. Pierwszym razem miałem poważną kraksę, za drugim razem Cygan ukradł mi w hotelu portfel z dolarami, za trzecim — z balkonu spadła cegła, prosto na mój nowy mercedes. Co pech to pech. Najważniejsze jednak, że interesy idą znakomicie, oby tak dalej. Co mi się najbardziej podoba w tym mieście? Wódka, polska wódka. Prosit...

Kupiec branży obuwniczej z Francji:

— Miasto wygląda bardziej europejsko niż sądziłem. Ludzie są lotni, przepadają za dowcipami, każdy uważa za punkt honoru znać ileś tam anegdotek, żeby je opowiedzieć znajomym. Pod tym względem przypominacie moich własnych rodaków. Kiedy jednak spytałem co można zwiedzić w Łodzi, wzruszono tylko ramionami. Jadę w niedzielę do Warszawy to podobno ciekawe miasto, czy naprawdę? Chciałbym wyrazić uznanie waszej milicji, to uprzejmi chłopcy. Tylko dlaczego oni tak się garbią? Czy nikt od nich nie żąda, by trzymali się prosto na służbie?

Inżynier ze Szwajcarii:

— Duże wrażenie zrobiła na mnie biblioteka uniwersytecka. Zdenerwowały natomiast chodniki przed gmachem. Ani jedna płyta przed nowymi budynkami nie jest nigdzie położona równo i pod kątem. Biblioteka jest wewnątrz pałacem. Napis na drzwiach wejściowych przylepiono leukoplastem. Tego w ogóle nie mogę pojąć, ani niczym usprawiedliwić. Brak w tym wszystkim ostatniego pociągnięcia, dobrego wykończenia. Co do nowych domów, to wydaje mi się jeszcze, że one przedwcześnie się starzeją. Czyżby użyto złych materiałów?

* * *

Przez Łódź jadą tranzytem do ZSRR turyści z różnych krajów i kontynentów. Reprezentują wszystkie niemal warstwy społeczne. Najczęściej ową rosnącą middle-class, warstwę średnią, nieźle uposażoną. Ci turyści zwiedzają to i owo i ruszają dalej. W rozmowy wdają się niechętnie. Wolą sami obserwować i źle znoszą, gdy im ktoś w tym przeszkadza.

Amerykanin z Detroit, urzędnik:

— Czy rzeczywiście rozdzielacie mieszkania za darmo w tych nowych blokach? U nas łatwiej o 5 aut niż o jeden „flat". Dobrego mieszkania trzeba się dorabiać przez kilkanaście lat. Myślałem, że u was dzieje się gorzej, naopowiadano nam różnych rzeczy. Na wszelki wypadek zabrałem nawet w drogę trochę wiktuałów. Niepotrzebnie, widzę normalne życie jak w każdym innym państwie. Dziewczęta chichoczą, matki wożą dzieciaki w wózkach. Tylko samochodów mało, ruch na ulicach jest minimalny.

Farmer z Los Angeles:

— Na stare lata przeniosłem się z Nowego Jorku do Kalifornii, bo tam lepszy klimat i założyłem kurzą farmę. Poprosiłem, żeby mi pokazano jak tutaj funkcjonują takie farmy. Zwiedziłem jedną na przedmieściu. Niezła, ale ja bym ją poprowadził bardziej racjonalnie. Za dużo robotników kręci się po tej farmie, a robocizna jest wszędzie bardzo droga. Nie mogę też pojąć dlaczego tutaj kurczaki są droższe od wołowiny. Przecież na całym świecie wołowina jest 2—3 razy droższa niż kurczaki. U nas nikt wołowiną się nie zajada, jest na to za droga, ale brojlery są tanie. Podobno u was rolnicy hodują głównie krowy i świnie. Tego nie mogę pojąć, bo krowa potrzebuje bardzo dużo paszy. Najlepiej opłaca się brojler.

Amerykanin z Chicago:

— Miałem zamiar wydać 50 dolarów na kupienie pamiątki. Nie znalazłem niczego godnego uwagi ani w hotelu, ani w kioskach i sklepach. Poradzono mi, żebym wstrzymał się z kupnem do Warszawy...

* * *

Do swego rodzinnego grodu zaglądają też byli Łodzianie, rozproszeni po wszystkich kontynentach. Kto spostrzegawczy, zauważy w różnych dzielnicach miasta, głównie na Bałutach 2—3-osobowe grupki, błądzące w zadumie po najbardziej oddalonych zaułkach. Oczy tych ludzi są czujne, wzrok wycstrzony. To starsi już ludzie, którzy uciułali kilka tysięcy dolarów, żeby przed śmiercią złożyć kwiatek na grobie najbliższych. Szukają też śladów młodości. Najczęściej bez skutków.

Żona jubilera z Nowego Jorku:

— Łódź jest inna niż 20 lat temu. Inne są ulice, inni ludzie, inna atmosfera. Nie poznaję swego miasta. Z wielkiego dystansu wydaje mi się teraz, że Łódź to ciasne podwórko zapchane do niemożliwości przeróżnymi przedmiotami. Brak mi przestrzeni, ruchu, ulicznego szumu, brak dalekich perspektyw. Nawet na Piotrkowskiej ruch samochodowy jest tak znikomy, że można przejść ulicę w każdym punkcie o każdej porze. Gdzie indziej to jest nie do pomyślenia i graniczy z szaleństwem. Zapamiętałam Łódź jako miasto bardzo ruchliwe, rozkrzyczane, wypełnione ludźmi, których rozpiera energia. A może to było złudzenie? Lata młodości zawsze idealizujemy. Bardzo źle funkcjonują telefony, na połączenie z Łowiczem czekałam godzinami. Wcześniej byłabym na miejscu pociągiem. Telefony są nie do zniesienia. Odwiedziłam kilka teatrów, aktorzy są wspaniali, być może są lepsi niż ich koledzy na Zachodzie. Łódź mi zaimponowała teatrami.

Polka z Kanady, urzędniczka:

— To brzmi nieprawdopodobnie i zbyt dobrze o mnie nie świadczy, ale nie mogłam inaczej. Zaraz po przyjeździe wyprowadziłam się od własnej matki i wzięłam pokój w hotelu. Nie mogłam wytrzymać w rodzinnym gronie. To wpatrywanie się w moje walizki, te nagabywania przybierały formy zorganizowanej żebraniny. Słyszałam od przyjaciółek, że to może tak wyglądać, ale żeby do tego stopnia.

Doktor z Nowego Jorku, łodzianin:

— Interesują mnie tutaj przede wszystkim sprawy żydowskie. Od razu powiem, że ani w Anglii, ani w Stanach Zjednoczonych nikt w pracy nie przeszkadza. Nikt jednak również nie pomaga. Proszę bardzo, wolna droga, organizujcie się, otwierajcie szkoły i teatry, ale za własne pieniądze. Dlatego nie mogę opanować zaskoczenia. Pytałem, kto utrzymuje szkołę imienia Pereca przy ulicy Więckowskiego? odpowiedziano mi, rząd. Pytałem, kto utrzymuje Teatr Żydowski? Odpowiedziano, że państwo. To jest bardzo przyjemna niespodzianka. W całych bogatych Stanach Zjednoczonych nie ma ani jednego stałego Teatru Żydowskiego, który byłby subwencjonowany przez państwo. Środowisko żydowskie w Łodzi jest nieliczne, ale zdumiewa żywotnością.

Polak z Londynu, technik:

— Dlaczego ludzie w tym mieście wciąż narzekają i narzekają? Nic im się nie podoba. Nie rozumiem tego, bo kiedy Polacy przyjeżdżają na pewien czas do Londynu, to nie dają tam powiedzieć na kraj ani jednego złego słowa. Bronią wszystkiego, nawet tego, czego moim zdaniem, bronić nie powinni. A gdy są u siebie w kraju psioczą na wszystko. Czym to wytłumaczyć, jakaś poza, czy jak? O co chodzi? Mają już prawie wszystko, nawet lodówki. Nie mają tylko aut. Czy to powód do takich żalów? A czy w ogóle to ktoś sobie zdaje sprawę, jak tam trzeba pracować. Byłem tu w jednym biurze, żeby załatwić interes. Patrzę, urzędniczka siedzi przy biurku i rozmawia z jakimś znajomym przez telefon. Rozmawia o pogodzie, kinie i innych głupstwach. Przecież za jedną taką prywatną rozmowę w czasie urzędowania wylatuje się w Anglii z pracy. I żaden związek zawodowy nie ma prawa ująć się za zwolnionym...

* * *

Spocznijmy teraz na chwilę na zasadzie relaksu, w przestronnej i nowoczesnej recepcji Grand — Hotelu.

Stół, na nim popielniczki, na nich napisy — come to Poland — Visitez la Pologne. Na ścianie olbrzymia, kolorowa płachta — „Fly BEA" — w środku płachty potężne zdjęcie Akropolu, pod nim wezwanie — come to Greece. Mimo tego syreniego śpiewu turyści wcale walizek nie pakują i nie odlatują pierwszym samolotem do Grecji. Pozostają w Łodzi, potem udają się w podróż po Polsce, czym dają dowód zaskakującej niewrażliwości na subtelne chwyty rodzimej reklamy. Bo Łódź istotnie nie ma Barbakanu, kutnowskiego węzła ani poznańskich targów. Ma za to przemysł i centrale handlowe o międzynarodowym znaczeniu.

Nie ma natomiast szczęścia do speców od turystyki.

JAN BĄBIŃSKI

LECH UTRACKI

Miasto na pustyni

Pan Prezes John Mendelson urodził się w ubogiej rodzinie żydowskiej na przedmieściu Wiednia. Dzieciństwo upływało mu w ciemnych podwórkach, na brudnych ulicach. Gdy miał dziesięć lat rodzice wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych. Trudy pierwszego okresu aklimatyzacyjnego zdołali przezwyciężyć dzięki własnej przemyślności i pomocy współwyznawców.

John Mendelson był chłopcem wyjątkowo zdolnym i inteligentnym, ze znakomitą żyłką do interesu, tym niemniej nigdy by nie trafił do kronik swej ojczyzny z wyboru gdyby nie łut szczęścia. John zajął się handlem ziemią i węsząc koniunkturę wędrował po kraju sprzedając, kupując i znów sprzedając. Pośredniczył, nawiązywał kontakty ze znanymi architektami, zakładał biura handlu nieruchomościami, podejmował najbardziej ryzykowne transakcje i... powoli dobijał się pozycji w branży.

Lata wojny i gwałtowny rozwój przemysłowy „Dzikiego Zachodu", run na ziemię i coraz większy napływ ludzi na te tereny nadały tempa jego interesom, były przysłowiową wodą na młyn. Wkrótce Mendelson zlikwidował agentury na wschodnim wybrzeżu i skoncentrowawszy wszystkie środki na nowych terenach, stał się jednym z wielkich rekinów „real estate" w Kalifornii.

Gdy pod koniec lat czterdziestych nastała w USA recesja, jak, unikając słowa „kryzys", piszą ekonomiści amerykańscy, na farmerów przyszły złe czasy. Wielu z nich zmuszonych było do sprzedaży ziemi i rozpoczęcia nowego życia z uzyskanymi pieniędzmi i słabą nadzieją na uzyskanie pracy w mieście. W okresie kryzysu Mendelson zlikwidował szereg agencji lecz, by nie stracić rynku, na który w dobrych czasach trudno byłoby od nowa wchodzić, zachował ich parę. A jak wierzył, dobre czasy były już niedaleko.

Pewnego dnia do biura Mendelsona w Hollywood przyjechała agentka z Bakersfield — Pani Suzy Coaen. Była to starsza dama w długiej szarej spódnicy, przypominającej stroje pionierek, w białej bluzce zachodzącej wysoko pod szyję, za jedyną ozdobę miała długi delikatnej roboty łańcuszek z medalionem. Siwe, obfite włosy nosiła upięte w kok, do którego przypinała szeroką granatową wstążkę. Wstążka ta i oczy ciemne, gorące, upodabniały ją do uczennicy przebranej w szaty z ubiegłego wieku. John nigdy nie wiedział jak to się stało, że zgodził się przyjąć ją do pracy, mimo, iż miał tyle ofert od innych, młodszych, atrakcyjniejszych kobiet. Fakt, miała wykształcenie prawnicze i doskonałe referencje, pochodziła z Kalifornii, znała wielu sławnych ludzi, wiele starych rodzin kalifornijskich, tym niemniej nie były to przecież argumenty najistotniejsze. Pani Suzy była ogniskiem, wulkanem w szarości sukien i włosów jak w popiele. Ogień zdawał się wydobywać wciąż z rosnącą siłą, buzował w jej słowach pełnych entuzjazmu, gestach młodzieńczych, w... sposobie prowadzenia półsportowego thunderbirda.

To chyba za sprawą tej kobiety Mendelson zdobył się na decyzję. Zarażony jej entuzjazmem jakże bliskim jego romantycznej naturze, zdecydował się raz jeszcze postawić na kartę. Kupił dolinę wraz z resztkami zrujnowanej farmy bawełnianej! Całe 82.000 akrów czyli około 330 kilometrów kwadratowych piasków, na które ponownie zaczęła wdzierać się pustynia.

Dawne uprawne tereny ciągnęły się pomiędzy wzgórzami: Pustynnym i Zamkowym, których uroda od dnia stworzenia nie została zmieniona. Nadal porastał je nędzny szary busz, kłujące kaktusy cholla, martwe drzewa Jozuego — Joshuatree, nadal po nocach harcowały tam kojoty, myszy kangurowate, pieski ziemne... Ku południowi Wzgórza przechodziły w wyższe pasma wzniesień, za którymi rozciągało się zastygłe, słone jezioro Edwards, ze znaną bazą lotniczą o tej nazwie. Ku północy dolina była ograniczona szarymi, obrosłymi rzadkim buszem stokami Sierra Nevada, z daleka przypominającymi stada starych słoni z omszałą skórą. Równoleżnikowo przez dolinę przebiegała trasa kalifornijskiego satanas — szatana — wiatru wiejącego głównie w jesieni, wznoszącego chmury piachu na wysokość dziesiątków i odległość setek mil. Innymi słowy dolina Mendelsona znajdowała się w środku wielkiej pustyni kalifornijskiej — Mohave Desert.

Ku zdumieniu farmera, Mendelson, uzyskawszy kredyty z Banku Amerykańskiego, spłacił od razu całą sumę. Podobno wynosiła ona około dwu milionów dolarów, czyli po dwadzieścia parę dolarów za akr. Zapamiętajcie tę kwotę. W kilka dni później, przy huku dział i grzmocie bomb skończył się kryzys — wybuchła wojna w Korei. Zbliżały się lata boomu.

Trzeba przyznać, że decyzja Prezesa Mendelsona wymagała dużej odwagi i fantazji. Co prawda ryzyko dzielił z akcjonariuszami Banku Amerykańskiego, tym niemniej interes był ryzykowny i wiadome było, iż przez długi okres czasu będzie wymagał dalszych milionowych nakładów bez szansy na choćby centowe dochody. W ciągu następnych ośmiu lat inwestycje pochłonęły następne trzy miliony. W 1958 roku nastąpiła inauguracja. Nowoczesnej farmy? Zakładów przemysłowych? Szybu naftowego? Nie! O nie! To byłoby zbyt proste, zbyt pospolite! Nastąpiła inauguracja miasta, czyli chrzest California City, dokonany jednocześnie przez trzech duchownych: rabina, pastora i księdza!

W California City byłem wraz ze znajomymi, zaproszony przez firmę Prezesa Mendelsona w listopadzie 1961 roku. W biurze Zarządu przyjęła nas Pani Suzy Coaen — szef ekspozytury w tym mieście. Jak dawniej była pełna entuzjazmu.

— W California City obecnie mieszka 536 rodzin. Jednakże teraz codzien-

Mówi PICASSO

Węgierski fotograf Brassai w ciągu długich lat przyjaźni jaka go łączyła z Pablem Picasso, zebrał mnóstwo fotografii, zapamiętał wiele anegdot, zanotował liczne wypowiedzi artysty.

* * *

15 lipca 1932 r. otwarta została w Złotej Galerii George Petit w Paryżu wielka wystawa prac Pabla Picassa. 236 obrazów pozwoliło prześledzić wszystkie okresy rozwoju jego twórczości artystycznej: niebieski, różowy, kubizm i klasyczny.

Kiedy stał się wielkim malarzem, Picasso miał już wszelkie znamiona człowieka zamożnego. Hispano-Suiza z kierowcą w liberii, ubrania szyte u najlepszych krawców, rasowe psy, zamek w Normandii i piękna żona u boku. Przyjmował w swych salonach wybitne osobistości: Artura Rubinsteina, Jean Cocteau, Manuela de Fala.

— Kiedy go zobaczyłem po raz pierwszy — pisze Brassai — czułem się trochę głupio. Stał przede mną człowiek skromny, niezarozumiały, zwykły człowiek. Atelier przypominało raczej bazar, aniżeli pracownię malarza. Było tu moc gratów i stosy książek. Żona artysty nie miała tu wstępu. Z wyjątkiem nielicznych przyjaciół nikt do atelier nie wchodził. Picasso zaproponował mi fotografowa nie jego rzeźb. Pierwszy dzień mojej pracy zakończył się propozycją malarza — odwiedzeniem cyrku. Wiedziałem, jak bardzo pociąga go ten dziwny świat akrobatów, atmosfera stajni, cierpki zapach dzikich zwierząt i wilgotnej słomy.

Picasso: — Cyrk pasjonował mnie zawsze. Tu po raz pierszy zobaczyłem Grocka. Istny szał. A dlaczego clowni zamienili swoje klasyczne ubrania na stroje komediantów? ...bo chcieli tworzyć własne kostjumy, tak jak im dyktowała twórcza fantazja."

Pewnego razu Picasso odwiedza p. Brassai w jego pracowni, ogląda jego fotografie.

Picasso: „Widzę, jak wiele można powiedzieć przy pomocy fotografii i jeszcze lepiej rozumiem, gdzie rozpoczyna się praca malarza. Fotografia pojawiła się we właściwym czasie, uwalniając malarstwo od tego, co jest literaturą, anegdotą. Przed malarzem otwarta jest szeroko droga poszukiwań twórczych".

Innym znów razem w pracowni malarza:

Picasso: „Odpowiadają mi pana fotografie. Lubię je. Te rzeźby byłyby piękniejsze w gipsie. Zrazu nie chciałem nawet słyszeć o tym, żeby je odlewać w brazie. Ale Sabartes powtarzał aż do znudzenia: „Gips wietrzeje, brąz trwa wiecznie".

Niektóre z rzeźb jakby straciły wyraz. Wielkie krzywe płaszczyzny wygładzają jakby pochłonął je odblask i garby brązu. O ileż lepiej wyglądałyby w marmurze".

Ale skąd Picasso miał tyle brązu?...

Picasso: „Moi przyjaciele przynieśli mi nocą brąz oblepiony gipsem. Działo się to wprost pod nosem Niemców. Towar musiał być ukryty".

Na małym taborecie biały kot pręży grzbiet, z kąta wygląda głowa byka, strojna w długie rogi.

Picasso: „Z tą głową byka to też historia. Pewnego dnia wśród starych gratów ujrzałem siodełko i kierownicę — części starego roweru. Jedno oka mgnienie i zobaczyłem głowę byka. Co jest wspaniałe w brązie — to możność związania oddzielnych przedmiotów w jedną wspólną całość. Istnieje jednak niebezpieczeństwo. Gdyby widzieć tylko głowę byka, nie zauważając elementów siodełka i kierownicy, wówczas rzeźba przestałaby być interesująca".

Oto co mówi Picasso na temat narodzin swego talentu: „Pomysły są tylko w chwili narodzin dzieła. Ostateczny kształt nie przypomina nigdy tego, co było zamierzeniem. W miarę postępu pracy rodzą się nowe pomysły, coraz śmielsze, coraz to inne. Trzeba sprawdzić swój pomysł, trzeba rysować. Jeśli z rysunku wychodzi mężczyzna — niech będzie mężczyzna, jeśli kobieta — niech będzie kobieta. Hiszpanie mówią: „Jeśli ma brodę — to mężczyzna, jeśli nie ma brody — to kobieta". Kiedy mam przed sobą biały kawałek papieru, słowa kręcą mi się po głowie. To co chce utrwalić wbrew mojej woli, interesuje mnie najwięcej. Nie wiem dlaczego starożytni aby rzeźbić postacie, wybrali marmur. Rozumiem, że można wydzieć coś w korzeniu drzewa, w kamieniu... ale w marmurze?... Marmur nie potrafiłby mnie natchnąć. Jak to się stało, że Michał Anioł w bloku marmuru zobaczył swego Dawida?... A może człowiek utrwalał postacie, które widział na ścianach groty, w kawałku drewna, czy kości. Jakiś kształt sugerował mu postać kobiety, inny bizona, jeszcze inny głowę jakiegoś monstrum.

W Eynes archeologowie utrwalili wycinek skały około 5 m grubości, na przekroju której widać wyraźnie leżące na sobie warstwy, a w nich ślady minionych tysiącleci: kawałki kości, zęby, szczątki narzędzi z krzemienia. Te pozostałości minionych wieków zawdzięczamy pyłowi. To wszystko, co przekazała nam przeszłość zakonserwowane zostało w pyle. Jeśli cokolwiek wiemy o pierwszych ludziach zawdzięczamy to pyłowi. Oto dlaczego w mojej pracowni nie pozwalam ścierać kurzu—kurz, to mój sprzymierzeniec, chcę mieć z nim kontakt. Kamień, brąz, kość, glina palona — oto co przetrwało w ziemi po naszych przodkach. Obraz nie jest jednak prawdziwy. Jestem pewny, że najpiękniejsze przedmioty w epoce kamiennej powstały ze skóry, materiału, a przede wszystkim z drewna. Wiek kamienia można nazwać śmiało wiekiem drewna. Wśród rzeźb murzyńskich ile jest wykonanych w kamieniu, czy kości? — Może jedna na milion. Człowiek pierwotny nie dysponował większą ilością kości, niż ludy afrykańskie. Musiał tworzyć w drzewie dużo rzeźb, ale wszystkie zginęły".

Pewnego razu chciałem sfotografować parę szczegółów w pokoju malarza. Poskładałem rozrzucone rzeczy. Picasso był nieobecny. Kiedy wrócił powiedziałem mu, jakie zdjęcia wykonałem.

„To już nie będzie dokument — powiedział Picasso. — Sposób w jaki artysta rozrzuca dokoła swoje rzeczy mówi wiele o nim samym. Ja lubię fotografie, bo niosą w sobie prawdę czasu, w jakim powstały. Z artysta jest to samo. Nie wystarczy znać jego dzieła. Trzeba wiedzieć kiedy je wykonał, w jakich okolicznościach, dlaczego". (M. T.)

LISTY do REDAKCJI

Felieton Cwieka pt. „Z czego się śmiać", wywołał prawdziwą burzę: studenci poczuli się dotknięci i ławą, mości panowie, ruszyli na naszego zgryźliwego felietonistę. No i posypały się listy do redakcji. Oto dwa z nich·

DROGI

PANIE REDAKTORZE!

Piszę jeszcze pod wrażeniem przeczytanego artykułu (Chodzi tutaj o felieton „Z czego się śmiać?"). Wywołał on u mnie jak i u większości moich kolegów oburzenie. Jak dotychczas nie zetknąłem się w prasie z tak jednostronnym potraktowaniem tematu (a przy tym wprost fanatycznie wrogim dla studentów).

Czego się nie zarzuca tym studentom:

„Nie nadają miastu tonu ośrodka akademickiego. Za przykład stawia się Kraków, gdzie studenci dyskutują na Plantach itp., a trzeba by wiedzieć panu Redaktorowi (chodzi tu o pana podpisującego się pseud. Cwiek), że i u nas też się dyskutuje. Sam osobiście jestem studentem Politechniki Łódzkiej i jako student tego typu uczelni mam bardzo mało wolnego czasu, ale każdą wolną chwilę spędzam na dyskusjach, spotkaniach itp. Myślę, że redaktor, który zamierza napisać coś na temat życia danego ośrodka akademickiego, w tym wypadku chodzi o Łódź, winien pofatygować się i zajrzeć do klubów, ot dla przykładu choćby do „Turysty" i sprawdzić czy rzeczywiście tam nic się nie dzieje, a jestem pewien, że wtedy nie powstałby taki szkalujący studentów artykuł.

Atakuje się Juwenalia, sam też nie pochwalam niektórych haseł, ale trzeba pamiętać, że w każdym środowisku, zawsze znajdą się „czarne owce", a jeżeli spojrzało się nie tylko „lewym okiem" można było dopatrzeć się wielu pomysłowych strojów i wcale niegłupich haseł.

Takie jest moje zdanie i zdanie najbliższych kolegów. No cóż może nie mam racji.

Uważam, że na łamach tego pisma, które bodajże najwięcej z łódzkich czasopism poświęca miejsca problemom studentów, winni zabrać głos łodzianie i ci, którzy widzą studenta-drania i ci, którzy widzą studenta pracującego społecznie, dobrze wychowanego itp. Myślę, że dopiero po podsumowaniu takiej dyskusji, można będzie powiedzieć, ustrzegając się stronniczości i fanatyzmu, jakim właściwie jest ten łódzki student.

ANDRZEJ MARIAN KOT
Student Politech. Łódzkiej

PS. Bardzo byłbym Panu Redaktorowi wdzięczny za sprowokowanie tej pożytecznej dyskusji, jeżeli już nie tym listem (nie mam żadnych aspiracji literackich, zresztą o tym te błędy stylistyczne chyba mówią), to może własnymi uwagami.

SZANOWNY

PANIE REDAKTORZE!

„Lewym okiem" — artykulik ten ma świetnie dobrany tytuł! Wszystko to wygląda tak, jakby naprawdę Pan Redaktor obserwował nas tylko lewym okiem. Jeśli Pan Redaktor sądzi, że „tym młodym osobom na niczym tak nie zależy, jak na wywołaniu oburzenia i zgorszenia", to uważam, że bardzo mało Pan zna młodzież studencką, a raczej prawie wcale. Skąd Pan Redaktor wie, że łódzki student nie chce być rozpoznany? — czy dlatego, że nie wystaje po rogach i nie dyskutuje, że „nikt czapek studenckich nie nosi", bo „nie ten fason?". Czapki studenckie widzi się bardzo rzadko, bo faktycznie fason i wygląd mają szkaradny (nie dziwię się, większość młodzieży chce w miarę swych możliwości materialnych ubierać się ładnie i modnie).

Studentów łódzkich można natomiast bardzo łatwo poznać po znaczkach ZSP, które większość z nich nosi i PŁ. (nie wiem, czy inne uczelnie też mają swoje znaczki). Jeżeli chodzi o obszarpane swetry, to noszą je plastycy wracający z zajęć, do których takie właśnie swetry są najbardziej odpowiednie, lub plastycy, których na inne nie stać.

Nie widzę również nic dziwnego w tym, że wielu studentów biorących udział w pochodzie miało stare, brudne kostiumy, skoro właśnie teatry łódzkie innych nie chciały wypożyczyć.

Hasła: „Oddam cnotę za dwa złote" i in. przytoczone przez Pana Redaktora, są rzeczywiście nie na miejscu.

STUDENT WYDZIAŁU CHEMII PŁ

PS. To co zamieścił Pan Redaktor w pierwszej części swego artykułu oburzyło mnie i grono mych kolegów.

A co na to redakcja „Odgłosów"? Otóż redakcja jest w rozterce: kocha bowiem Cwieka (i chciałaby nie ograniczać jego swobody sądów, jako że ma do niej pełne prawo) i uwielbia studentów (niech figlują nasze kochane dziatki). Co więcej — ale to już w sekrecie — redakcja z sympatią patrzyła na studencki pochód, nie gorsząc się, o zgrozo, nawet inkryminowanymi hasłami: bowiem redakcja wyznaje zasadę, że naturalną rzeczą jest i młodzieńcza lekkomyślność i śledzienniczość wieku dojrzałego. Więc może pozwólmy obu tym zjawiskom koegzystować?

nie przybywa ktoś nowy. W październiku przybyło ponad 50 rodzin. Wczoraj przyleciała naszym samolotem wycieczka z San Francisco — zawarliśmy umowy na z górą 40.000 dolarów. Mamy już bank, notariusza, kościół, sześć magazynów handlowych, stacje benzynowe, przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe, budowlane, gabinet kosmetyczny, własną gazetę, szeryfa (nowego, stary zmarł nam, niestety, przed kilkoma tygodniami), straż pożarną... — recytowała jednym tchem.

— Mimo wszystko, jakoś tu pusto. Tych kilka domów wokół waszego Zarządu, to jedyne co widać — zauważyłem.

— Ależ jak pan może! W California City już obecnie mamy 200 mil asfaltowanych dróg. Wybudowaliśmy 9 studni artezyjskich i niemal cały teren przyszłego miasta jest już uzbrojony. Nasi klienci sami wybierają gdzie chcą mieszkać, a że na ogół szukają parcel jak najdalej położonych to tylko ich sprawa.

— Czy mam rozumieć, iż istnieje jakiś plan rozbudowy, czy zabudowy miasta? — zapytałem nieco przestraszony tą lawiną słów i faktów.

— California City będzie drugim po Washingtonie miastem USA od początku budowanym według planów. Proszę, oto centrum...

Na wielkim planie wiszącym za kurtynką na ścianie, rozpościerało się miasto z rozległymi ulicami, dzielnicami handlowymi, dzielnicami drapaczy chmur, dzielnicami usług publicznych (urzędy i kościoły), dzielnicami rekreacji... Urbanista wyraźnie szafował zieloną farbą, gdyż od niej cały plan barwił się optymizmem i nadzieją. Gros powierzchni miasta stanowiły małe, dwu- i jednoakrowe parcele pogrupowane w dzielnice, w których poza ceną ziemi wszystko było analogiczne; w jednej dzielnicy parcela dwuakrowa kosztowała 11.000 dolarów, podczas gdy w drugiej, znajdującej się po drugiej stronie miasta cena była dwukrotnie wyższa. Taka sama parcela, taki sam piach.

— Musimy od razu przewidzieć dzielnice lepsze i gorsze. To jest zapotrzebowanie społeczne. Nie ma miasta, gdzie by nie było podziału na dzielnice eleganckie i dzielnice biedne. Jeśli cena ziemi będzie różna, różni ludzie będą się grupować w różnych dzielnicach. Przecież nie mogą mieszkać obok siebie ludzie nie należący do tej samej grupy towarzyskiej! — usłyszałem w odpowiedzi.

W niektórych dzielnicach ulice biegły prosto jak linie szachownicy, w innych wiły się jak parkowe alejki. Obficie położony zielony kolor tym bardziej czynił to porównanie słusznym.

Jakżeż inaczej wygląda California City w rzeczywistości. Jedziemy mila za milą wzdłuż owych ulic, alei i bulwarów. Asfaltowe szlaki rozgałęziają się, splatają, rozplatają. Od czasu do czasu widać domek, który jakże nieporadny i opuszczony wygląda w tym mieście-przyszłości, jak je nazywa Pani Suzy. Pustynia pocięta ulicami, poznaczona jest dodatkowo palikami wytyczającymi granice parceli i lokalizacje przyszłych domów. Niekiedy asfalt kończy się ślepo, a wytyczony szlak ciągnie się dalej, znaczony rzędem powbijanych w szczerą pustynię białych dwumetrowych słupków z napisami takimi jak ten: „Magnolia Ave", z jednego, a „Airway Blvd", z drugiego boku.

Wysoko nad nami rozpoczyna akrobacje jakiś wielki samolot o dziwnym kształcie. To z bazy lotniczej nad jeziorem Edwards.

— Przed kilkoma dniami przyjechali lotnicy szukać drzwi z samolotu. Wypadły im w czasie przelotu nad miastem — opowiada Pani Suzy — Nikt drzwi dotąd nie znalazł, może więc wciąż spadają. Ten samolot to matka superstratosferycznych rakietowych X-15 i X-20, jedynych samolotów umożliwiających wchodzenie w przestrzeń kosmiczną.

Niedaleko od centrum California City znajduje się teren rekreacyjny, czyli zabaw i wypoczynku. Wielki, kilkusetmetrowy staw o nieregularnym kształcie posiada dno wyłożone grubą warstwą plastyku. Po stawie krąży motorówka. Za parę miesięcy będą tu dostarczone ryby z Oregonu i rozpocznie się „sportowe" rybołówstwo (polega na łowieniu ryby na haczyk bez zadziorów i wypuszczanie złowionych sztuk na powrót do wody!). Brzeg jeziora porasta delikatna zieleń traw ocienionych maluteńkimi, paroletnimi drzewkami. To tereny przyszłych pikników. Po drugiej stronie stawu, za wysoką siatką czerwienią się korty tenisowe, boiska do gry w koszykówkę, baseball i amerykański football. Łagodnie wznoszącą się alejką wchodzimy na sztuczny pagórek, wewnątrz którego mrucza pompy tłoczące wodę na szczyt. Stąd spływa ona do stawu obfitymi wodospadami, w których betonowe dno wmontowano za pancernymi szybami kolorowe reflektory do nocnych iluminacji.

Projekt urbanistyczny 330 kilometrów kwadratowych miasta jest już gotowy. Gotowe są też plany architektoniczne centrum religijnego. W pobliżu terenu rekreacyjnego znajduje się rząd typowych domków, zaprojektowanych i wykonanych specjalnie dla tutejszych warunków klimatycznych na zlecenie Prezesa Mendelsona. Teraz pora na klientów.

Do Los Angeles jest około stu mil, do San Francisco trzy razy dalej. Mieszkańcy mogą się więc rekrutować z rentierów, emerytów, ludzi, którzy znajdą pracę w rozsypanych wśród pustyni baz lotniczych i mleczarskich zakładach (np. niedalekiej wytwórni tlenku tytanu) oraz letników czy raczej zimowników, bo lato jest tu potworne — do 50 stopni w cieniu! Jaki będzie los California City? Któż to może przewidzieć? W 1542 roku co dzień do Los Angeles przybywało około 1800 mieszkańców, często przygoniła ich do Kalifornii jedynie tęsknota za słońcem, klimatem. Los Angeles nie jest najlepszym miejscem dla takich przybyszy. Ów kolos miejski niezadługo zadławi się swym ogromem, zadławi się z braku i nadmiaru — braku wody do picia i nadmiaru spalin samochodowych — słynnego smogu. California City jak głoszą prospekty reklamowe tych kłopotów mieć nigdy nie będzie. Ze względu na pobliże gór Sierra Nevada, studnie artezyjskie są obficie zaopatrzone w wodę a pustynne wiatry stanowią generalny środek zapobiegający smogowi.

Czy jednak ów delikatny, zrodzony z fantazji i businessu twór wytrzyma próbę lat? Czy nie podzieli losu tych dziesiątków setek opuszczonych osad i miast Kalifornii, Arizony i Nevady? Któż poza czasem może dać na to odpowiedź? Być może, że już za parę lat okaże się, że obliczenia zasobów wody były błędne i w ciągu kilku dni miasto zostanie opuszczone a mieszkańcy zrujnowani. Być może jednak, że stanie się ono drugim Palm Springs — modnym kurortem, w którym milionerzy ze świtą aktorów i snobów spędzają zimowe miesiące? Bo w szansę, by California City stała się zwykłym, normalnym miastem, nie wierzę!

JERZY WAWRZAK

„REKOMENDACJA"

(Fragment powieści)

Szedł wolno w stronę miasta. Zima nadal była anemiczna. Śnieg mieszał się z czarnymi łachami ziemi, które przypominały kontury przyczajonych zwierząt. Mróz nawet nie szczypał w policzki, chociaż był to już późny wieczór.

Mimo długiego spaceru na świeżym powietrzu nadal czuł przykre rozdrażnienie po tej inspekcji. Była to oczywiście nie pierwsza przeszkoda, ale szczególnie go dotknęła, bo przewidując ją bezbłędnie uległ mimo to Stefanowi Lewandowskiemu, który uparł się na uruchomienie trzeciej zmiany. Tak rzeczywiście najłatwiej było zlikwidować wąskie gardło w dziale obróbki wiórowej, gdzie przez dwie zmiany półautomaty do nacinania gwintów nie mogły dać rady.

— Ty nie zdajesz sobie z tego sprawy — mówił do Lewandowskiego — ta trzecia zmiana bez nadzoru to będzie dla nich świetna okazja. W dzień sobie zrobią co trzeba koło obejścia, przywiozą nawóz z GS z myślą, że noc jakoś tam się przemorduje.

Główny księgowy też był tym niezbyt zbudowany, bo trzeba było płacić ludziom dodatki za pracę w nocy i Jakub gotów był się z nim zgodzić, gdyby nie doraźne korzyści, których lekceważyć nie było można. Pula wyprzedzenia w drobne detale niezbędna dla utrzymania narzuconego tempa musiała stale rosnąć.

I rzeczywiście wzrastała. Stefan miał rację. Posunięcie technicznie biorąc, było słuszne. „Tylko co się bardziej opłaci" — zastanawiał się Piechowiak po tym incydencie cały czas mając wątpliwości co do słuszności swojej decyzji. Otrząsał się bezskutecznie z tych myśli chcąc wrócić do całej sprawy jutro, kiedy będzie spokojny i opanowany.

Portier wpuścił go mocno zdziwiony widząc, że wraca do zakładu o tej porze. Jakub dostrzegł w jego twarzy nawet jakiś cień przestrachu, gdy ten próbował na wielkiej tablicy naszpikowanej gwoździami wyszukać mu klucz do gabinetu.

— Zostawcie to — powiedział — idę się przejść na produkcję. „Żałuję, że nie można do nich stąd zadzwonić, że jestem" — pomyślał. Centralka po trzeciej była już nieczynna. Z miasta można się było dodzwonić tylko do portierni.

Piechowiak postanowił obejść od frontu magazyny i dopiero w tamtym miejscu, bocznym wejściem, dostać się do hali. Podchodząc pod wzniesienie zatrzymał się w połowie drogi, by popatrzeć na ciemną bryłę biurowca, gdzie tylko w jednym oknie paliło się światło. Było to okno pokoju gościnnego i nawet z tej odległości Jakub dokładnie widział sylwetkę Stefana siedzącego przy stole nad gazetą, czy jakimiś papierami.

„Porządny, twardy chłopak. Żebym miał takich więcej — westchnął — muszę znaleźć mu jakieś lokum na mieście. A najlepiej ożenić go z jakąś pannicą. Zostałby ze mną dłużej".

Na parterze w hali pras było ciemno, ale Jakub znał tu drogę jak swoje pięć palców. Nie włączył oświetlenia tylko zapalił kilka zapałek, by nie potknąć o jakąś pozostawioną w przejściu skrzynkę na detale bądź odpadki. Brygada Kałuży pracowała na drugim piętrze. Jakub wspinał się po schodach już bez świecenia zapałek, po omacku trzymając się poręczy. Wejście wskazał mu długi trójkąt światła padający przez uchylone drzwi. Pchnął je i wszedł na halę. Już na schodach zdziwiła go cisza zamiast charakterystycznego szumu maszyn. Nie był więc zaskoczony widząc kilku robotników siedzących na metalowym falbanku pod oknem. Na jego widok umilkli jak chwyceni za gardła. — Coście tak jadaczki zamknęli jak na komendę — powiedział jeden z nich rozwalony na ławie, plecami do drzwi. Zobaczył widocznie kierunek ich spojrzeń, bo sam odwrócił się gwałtownie tak, że niemal nie zleciał na posadzkę.

— Co to fajrant? — spytał spokojnie — gdzie brygadzista?

— Był tu przed chwilą — powiedział niewyraźnie któryś. Jakub zauważył, że ma trudności z równowagą i musi korzystać z pomocy stołu próbując schować się za plecy pozostałych.

Piechowiak wyciągnął notes z kieszeni. Przez chwilę szukał wolnej kartki.

— Nazwiska — warknął — po kolei.

Przyglądali mu się chwilę w milczeniu. Czekali. Jeden na drugiego.

— Nazwiska do cholery jasnej! — powiedział jeszcze spokojnie, ale z dławiącą go wściekłością — ładnie tu robicie wyprzedzenie — usiadł ostro między nich i sięgnął ręką do pierwszej z brzegu szafki. Otwierał je po kolei i wyrzucał zawartość na ziemię: stare, wybrudzone smarami kombinezony, czyściwo, kartonowe pudełka z narzędziami. W czwartej znalazł dopiero dwie półlitrówki z białymi, świeżymi nalepkami z czerwonym nadrukiem. Jedna z nich była niedopita do końca. Cisnął ją o ziemię. Pękła z hukiem.

— Gdzie jest ten cholerny Kałuża?!

— Jestem, panie dyrektorze — usłyszał głos od drzwi w bocznej ścianie. Stał w nich brygadzista tych pięciu. W rękach trzymał opadające mu spodnie. Zbliżył się powoli z wystraszoną twarzą. — Jutro wszyscy dyscyplinarnie — przeciął ręką powietrze — szkoda moich słów. Myślałem, że już oczyściłem załogę z takich mętów, ale to jeszcze nie był koniec. Sądziłem, że wy, Kałuża, jesteście trochę od innych mądrzejszy i można mieć do was zaufanie. Ale z was taki sam mały, parszywy drań.

— Ależ, dyrektorze, my... — próbował protestować któryś z nich, ale język zaplątał mu się już na początku zdania.

Jakub odwrócił się na pięcie i poszedł w kierunku drzwi. But nawet nie zaszurał na posadzce za jego plecami. Wszystko stało się dla nich zbyt szybko, a wypity alkohol odebrał im umiejętność natychmiastowej reakcji.

„Ręce sobie urobię" — Jakuba ogarnęła panika, podobnie jak kilka dni temu, kiedy zarządził nieoczekiwaną rewizję przy bramie wejściowej i dwóch robotników przyłapał na wynoszeniu kilkudziesięciu metrowych igelitowych węży, owiniętych wokół pasów. — To wszystko nic nie daje. Rozmawiam z nimi dziesiątki razy, znam prawie każdego po nazwisku, chwytam się najrozmaitszych sposobów a tu nadal to samo. Wyrzucam na zbity łeb, a ci spokojnie żłopią wódkę, bo jest noc i nikt ich nie skontroluje. Taki Majtyka spokojnie wyciąga czterdzieści procent normy a kiedy odwołuje się do Rady Zakładowej po otrzymaniu zwolnienia, ci go bronią... Po co mi to wszystko potrzebne? Poderwałem jakoś załogę, robotników z prawdziwego zdarzenia, ale ilu jest tych i n n y c h? Kiedy oni się zmienią, zrozu-

Rys. M. Kapuścińska

mieją..., jak już mają we krwi, aby zagarniać wszystko pod siebie, tylko pod siebie, bo tak nakazuje nie pisany obyczaj środowiska... Przecież oni mnie znienawidzą, bo przecież ja w porównaniu z tym durnym Błaszczykiem wychodzę nie tylko na jeszcze większego głupca, ale i drania. Bo przecież tamten nie zadał sobie nigdy trudu by ich osądzić jako całość, ulegał, patrzył przez palce, kiedy ja ich przymierzam, ich wykroczenia do przepisów i osądzam, te martwe litery ich osądzają, a ja tylko się zgadzam — i będę się ugadzał, bo moje musi być na wierzchu".

Wybiegł prawie z budynku i w pierwszym odruchu chciał iść prosto do pokoju Stefana siedzącego nadal spokojnie przy stole, ale zreflektował się, że ten jego paniczny nastrój niepotrzebnie mógłby się tamtemu udzielić, temu właściwie chłopakowi z żelaza, ale nie obojętnemu na kłopoty swojego przyjaciela, które jednocześnie były przeszkodami dla zrealizowania jego planów.

Poszedł więc coraz wolniej, z rezygnacją w stronę bramy. Minął ją bez słowa do portiera usłużnie otwierającego mu drzwi. Wyszedł na drogę do miasta.

„Jutro znów zebranie, znowu wyrzucę tamtych z roboty, znowu z wielkim szumem będę ich wszystkich oskarżał, rozdzielał ciosy nie wiadomo w kogo, bo nikt nie stanie naprzeciw. Najwyżej Kulesza, przewodniczący Rady Zakładowej, będzie próbował szukać argumentów na obronę tej szóstki, a mnie będzie popierał Kwaśniak i Berenda, któremu rano trzeba będzie wszystko opowiedzieć. Tak, ta szóstka musi odejść, mimo że będą przepraszać, przysyłać zapłakane kobiety lub siostry ubrane w świąteczne suknie. Muszą odejść podobnie jak ci pozostali obijacze, jak ci za złodziejstwo i robione w galwanizerni fuchy... Nie ma innej drogi, kiedy już taką wybrałem — musiałem wybrać..."

Nie spiesząc się, powoli, doszedł do rynku. Wszedł do gospody na piwo, mimo że nie chciał nikogo widzieć, z nikim rozmawiać. Czuł jednak pragnienie, potrzebę światła, obecności innych ludzi, którzy byli takimi samymi jak on klientami gospody a nie jego podwładnymi.

Było już kilka minut po jedenastej, ale w pierwszej sali siedziało jeszcze sporo osób. Pod ścianą siedział kierownik kontroli technicznej Miętus z Jańczakiem, byłym szefem produkcji. Ukłonili mu się, ale odwrócił głowę udając, że ich nie widzi. Zamówił piwo. Wyłuskał z paczki papierosa. Zapalił. Przełknął łyk.

— Nie mam reszty. Może być cukierek? Miętowy.

— Może — uśmiechnął się krzywo. Dziewczyna przypominała trochę Barbarę podobieństwem bardzo odległym, niweczonym przez rzucające się w oczy zaniedbanie i tę wulgarność wygładzoną latami w twarzy tamtej w pociągającą zmysłowość.

„Dlaczego ona taka jest — zastanawiał się — co ją skłoniło do tej cynicznej uległości, namiętności nawet. A kilka dni później miała tylko oziębłość w oczach, coś jak skry nienawiści. Co ją ugryzło"?

Rzucił cukierek na blaszaną ladę i wyszedł.

„Dobrze, że mam w domu kawę. Naparzę ze dwie szklanki. Muszę wreszcie coś przeczytać, bo zupełnie zdziczeję". — Przypomniał sobie kupiony niedawno tomik wierszy Różewicza.

Skręcił z rynku w stronę ulicy Szkolnej. Po drugiej stronie jakieś pięćdziesiąt metrów stało trzech mężczyzn. Jeden z nich odłączył się od grupy i przeszedł przez jezdnię idąc prosto na Jakuba, tak, że prawie zagrodził mu drogę dalej.

— Nie ma pan zapałek? — spytał. Mimo ciemności Jakub odróżnił papierosa trzymanego tuż przy ustach ciemnej twarzy o ostrym profilu.

— Proszę bardzo. Chwileczkę — rozpiął guzik kurtki i włożył ręce do kieszeni spodni. W tym momencie otrzymał cios z przodu. Nawet nie zdążył ruszyć którąś ręką. Uderzenie było silne i dobrze wymierzone. Poleciał do tyłu, na płot, i ześliznął się po nim na wilgotną ziemię. W prawej stronie głowy poczuł oszałamiający, tępy ból, który przytłumił tupot butów po bruku — dwaj pozostali biegli w jego stronę. Do najbliższego zabudowania było ze trzydzieści metrów, blisko. Latarnia paliła się jednak dopiero na końcu ulicy, niewyraźnie, złoto-mgliście w ciężkim powietrzu. W tej ciemności i ciszy mógł najwyżej krzyczeć.

„Wykończą mnie — przeleciało mu przez myśl — trzech wielkich silnych drabów. Zmasakrują."

— Będziesz skurwysynu ludzi zwalniał — usłyszał wściekły głos stojącego tuż człowieka. Odruchowo zasłonił twarz przed kopnięciem. Skulił się w tym ruchu i odbijając od płotu wyprysnął do przodu. Tamci dwaj byli w tym momencie tuż obok. Przez ułamek sekundy miał w oczach chybotliwy zarys głowy tamtego i ostro zamachując się, nie mierząc, zadał cios. Dłoń omal nie wyskoczyła mu ze stawu. Usłyszał tylko zdławiony krzyk i klapnięcie ciała na bruk. Odskoczył do tyłu. Ci dwaj przez moment znieruchomieli. Piechowiak wyszarpnął z kieszeni klucz od mieszkania.

— Schowaj ten nóż powiedział jeden z tamtych. Pierwszy z trudem podniósł się na kolana.

„Teraz mam szansę — pomyślał — nie będą tu ze mną prowadzić długiej dyskusji".

Skoczył w stronę najbliższego mierząc okutym, narciarskim butem w brzuch. Usłyszał wysoki, ostry krzyk. Ten drugi uderzył go z boku w tył głowy. Poleciał na twarz. Gramoląc się na nogi otrzymał drugi cios. Znowu upadł. Ciosy były silne, ale nie pozbawiały go przytomności. Kopnięty w brzuch skamlał jak pies. Trzeciego ciosu uniknął. Objął napastnika za nogi i pociągnął na ziemię. Zaczęli się szamotać. Jakub słabł z każdą chwilą. Jego ciosy nie robiły już na przeciwniku żadnego wrażenia. Udało mu się wreszcie chwycić Jakuba za gardło. Zaczął tłuc jego głową o ziemię.

Wtedy od strony zabudowań, jak przez mgłę usłyszał głosy ludzkie.

— Chłopaki — krzyknął pewnie ten, który podszedł z papierosem — uciekamy!

Jakub został sam. Leżał na wznak. Niebo nad nim naszpikowane gęsto gwiazdami przybliżało się gwałtownie i spadło mu na twarz jak miękka ciepła zasłona.

— Ktoś tu leży — usłyszał nad sobą głosy.

— Rany boskie!! — przeraził go kobiecy krzyk. Snop światła z latarni świecił mu w oczy. Podniósł rękę by je zasłonić. Pod palcami wyczuł krew zmieszaną z ziemią. Odwrócił głowę i zaczął pluć taką samą krwią i ziemią.

„Miałem sobie naparzyć kawy i poczytać wiersze Różewicza — pomyślał, nie czując prawie troskliwych dłoni unoszących mu głowę.

— Boże mój kochany — histeryzowała kobieta — zabili człowieka. Trzeba zaraz po doktora. Słyszysz, Władek?!

Mężczyzna wziął go pod ramiona i z trudnością wywindował do góry. Jakub stał chwiejnie na nogach, podtrzymywany rękami tamtego. Przed oczami w głębokiej czerni wirowały mu ogniste pękające koła. Ziemia uciekała spod nóg gdzieś do tyłu. Powoli to wszystko się oddalało.

— Nic mi nie jest — wymamrotał — uciśz pan tę kobietę.

— W następnej ulicy mieszka doktor Zalewski. Da pan radę?

— Co mam nie dać — zachwiał się, ale podtrzymywany silnym ramieniem mężczyzny wolno ruszył w stronę kaprawo świecącej latarni.

*) Przyg. do druku w Wyd. Łódzkim.

STANISŁAW KASZYŃSKI

EDITH PIAF

I

Głos, ów głos z tragicznego łuku wołania, ciągle to samo wołanie
z krwiobiegu opuszczonych kobiet o woskowych oczach —
„Mon Dieu, laissez-le moi, encore un peu mon amoureux" —
ten głos z czasu błyskającego jądra, ten głos odbierany przez ciebie,
gdy jesteś nikomu niepotrzebny, samotny w białych kwadratach lęku,
i zdaje ci się, że miłość uniosły jakieś demony, ale — trwasz,
trwasz w czarnej sukni, w uwiędłym liściu ramion, na deptaku marzeń,
i nagle ktoś dźwiga cię nabrzmiałą ochrypłością, głos, głos,
wstajesz i płaczesz,
oto wszystko, kamień i grzech, stają się śpiewaniem, tańcem obłoków,
kwitnącą różą głosu,
szept, szept-głos, szept-głos-ptak...

II

Gdzieś u początku nocy, zawsze i nieodmiennie,
przychodzi z pierwszą gwiazdą, ze zgrzytem klucza, z krokami
pęknięta smuga płomienia.
Ogrzej mi twarz i ręce, unieś na wyspy,
skąd już nie ma powrotu przed świtaniem — i jeszcze
wyrzuć mnie na brzeg morza.
Piasek wsypuje się w słońce, progresje fal, umieranie.
Nie wiem, czy czujesz me ciało, wydrążone ze krwi,
wszystko zostało we śnie, próbuję go rozbudzić
ptakiem.
Jest zapach twego ubrania,
twój krawat, lasso nadziei.
„Mon Dieu, laissez-le moi 1 jour, 2 jours, 3 jours".
Przyjdziesz bo cię przywołam
głosem brzydotą czekaniem
niech cię szukają po ulicach w deszcz i w pogodę
może jesteś w parku może w burdelu
zjawisz się z innym imieniem
ten sam którego nie miałam
i wszystko od początku czego nigdy nie było
i tylko dzień mon dieu tydzień jest kłamstwem
tylko dzień nie wyzywajmy nocy
tylko dzień

HENRYK ANDERS

STEFAN WEGNER

Fot. W. Parys

Stefan Wegner ukończył Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie w roku 1927. W uczelni przeszedł przez pracownię Władysława Jarockiego, który prowadził wówczas „ogólny kurs rysunku" i który nauczał wiernego i dokładnego odtwarzania kształtów, kładł nacisk na twardy, precyzyjny rysunek, nie uznawał deformacji, ale lubił stylizację i dekoracyjność jeszcze secesyjną. Podobnie drugi z profesorów, Ignacy Pieńkowski, żądał czytelnego, kontrastowego określania przedmiotów, kazał zestawiać jasne, intensywne plamy koloru, ujęte w ramy czysto zarysowanego konturu.

Znacznie więcej skorzystał Wegner z korekt Józefa Pankiewicza i Felicjana Kowarskiego, którzy mniej piłowali uczniów, ale ukazywali szersze horyzonty.

Po ukończeniu studiów — jak każdy prawie debiutant poszukujący własnej drogi artystycznej — przechodził Wegner okres wahań. Nie umiał wyzwolić się spod wpływu pedagogów, malował obrazy w typie impresjonistycznym, ale nie odczuwał zadowolenia, rozumiał, że umiejętności wyniesione ze szkoły nie wystarczają mu do wyrażenia prawdy o świecie współczesnym, że znalazł się w ślepym zaułku. W owych latach tendencją dominującą w malarstwie polskim stawał się tzw. koloryzm. Zwolenników tej orientacji nie interesowało odtwarzanie rzeczywistości — naturę traktowali wyłącznie jako pretekst do zabudowania płaszczyzny płótna. Celem miał być obraz, a jedynym powodem twórczości — wyszukane zestawienie barw.

Koloryści zwalczający grupę konserwatystów skupionych wokół warszawskiej „Zachęty" nawiązywali do doświadczeń postimpresjonizmu i uważali się za modernistów. Wegner dostrzegał w ich gronie wiele jednostek wybitnych, a kulturalne ich malarstwo pociągało go nawet, ale nie odpowiadał mu ich program w istocie minimalistyczny. Rozumiał też, że głoszą idee przebrzmiałe, że kult pięknej formy jest anachronizmem w epoce wielkich przemian społecznych i wspaniałych osiągnięć nauki. Zdawał sobie również sprawę, że sztuka nowoczesna musi być podbudowana teorią, że w skomplikowanym świecie współczesnym trzeba raczej ufać intelektowi niż polegać na czystej intuicji. Toteż, kiedy po powrocie do Łodzi w roku 1930 poznał Karola Hillera, a nieco później Władysława Strzemińskiego i Katarzynę Kobro, olśniła go ich wizja sztuki, która miała przenikać życie codzienne, zrewolucjonizować świat. Został jednym z najgorliwszych adeptów nowoczesności.

Poczytem sztandarowym ówczesnej polskiej awangardy była łódzka grupa „artystów rewolucyjnych". Ale Wegner na razie nie mierzył tak wysoko. Pojmował, zapewne nie bez podszeptów Strzemińskiego, że do sztuki nowoczesnej, do formy bezprzedmiotowej nie dochodzi się od razu. Rozpoczął ponownie, tym razem już samodzielne studia, zaczął zastanawiać się nad wyborem właściwej, przydatnej dla niego tradycji. Zgłębiając historię stworzył sobie niejako prywatne „muzeum wyobraźni", w którym znaleźli się Leonardo, Tycjan i Rembrandt, a z artystów współczesnych — Mondrian, Arp, Malewicz. Przede wszystkim jednak zainteresował się twórczością Cézanne'a oraz kubizmem.

Trudno w krótkim szkicu streszczać założenia kubizmu. Upraszczając można by je sprowadzić do następującej zasady: zamiast odtwarzania tradycyjnych wyglądów natury oglądanej nieruchomym spojrzeniem z jednego punktu widzenia — obserwacja dynamiczna, wybór zmiennych pozycji pozwalających na ujawnienie najważniejszych, strukturalnych cech rzeczywistości.

Takich cech strukturalnych przedmiotu szukał Wegner w latach trzydziestych. Przyswajał sobie — jak pisał we wspomnieniach o Strzemińskim — „świadomość artystyczną najwyższych osiągnięć sztuki europejskiej". Malował, nawiązując do kubizmu analitycznego i płaskiego, portrety i martwe natury. Jeden z tych obrazów, kubizowany, zgeometryzowany autoportret zachował się w łódzkim Muzeum Sztuki.

Tak więc kubizm stał się dla Wegnera — jak przedtem dla Strzemińskiego, a wcześniej jeszcze dla Malewicza i Mondriana — odskocznią do dalszych, osobistych już dociekań artystycznych. Doszedł bowiem do wniosku, że malarstwem odpowiadającym duchowi epoki może być jedynie to, które „wywodzi się z kubizmu, z kubistycznego widzenia przestrzeni".

Wierzył w to święcie, więcej — był tego absolutnie pewny. Jako malarz, jako teoretyk i pedagog głosił trzy tezy, które uważał za niewzruszone fundamenty sztuki.

Po pierwsze: malarstwo nie może być ilustrowaniem pojęć, dogmatów ani prawd wewnętrznych, nie może być wyrażaniem doznań, emocji ani wyobrażeń — malarstwo jest sztuką oka, podstawą twórczości może być tylko widzenie, obserwacja świata zewnętrznego. Tylko sztuka oparta o widzenie jest sztuką realistyczną.

Po drugie: istnieje stały — co nie znaczy nieprzerwany — postęp w rozwoju świadomości wzrokowej. Etapami tego postępu w czasach nowożytnych były renesans, barok, impresjonizm i kubizm.

Po trzecie: kubizm był ostatnim ogniwem realizmu w jego historycznej ewolucji. Kubizm ukształtował nowoczesną świadomość wzrokową, którą pogłębiają w pewnym stopniu kierunki od niego pochodne. Wszystkie inne nowo powstałe kierunki malarstwa nie wnoszą do tej dziedziny nic nowego, przeciwnie, bazując przeważnie na przestarzałych typach widzenia, nie są w istocie nowoczesne.

Pod koniec lat trzydziestych wykonał Wegner kilka temper i litografii przedstawiających pejzaże morskie oraz martwe natury. Odstąpił teraz od niedawnej geometryzacji kształtów, określał przedmioty płynną syntetyczną linią, przywodzącą na myśl formy niektórych nadrealistów. Wkrótce jednak nadeszła wojna i skazała artystę na długie lata bezczynności. Dopiero w roku 1945 mógł powrócić do pracy twórczej: namalował wówczas kilka obrazów olejnych, poświęconych tematyce okupacyjnej oraz nagrodzony później cykl rysunków pt. „Oświęcim". Rzecz szczególna, że były to prace o charakterze realistycznym, nasycone silnym ładunkiem emocji podkreślonej sugestywną, ekspresyjną deformacją. Nawrót do ekspresjonizmu ujawniał się w owym czasie dość powszechnie, widocznie przeżycia wojenne skłaniały artystów w tym kierunku.

Jednakże już w roku 1948 na wystawie „nowoczesnych" w Krakowie przedstawił kilka na wpół abstrakcyjnych pejzaży, stanowiących kontynuację doświadczeń przedwojennych. Z kolei po roku 1949 próbował — bez powodzenia — włączyć się w nurt „realizmu socjalistycznego": namalował „Dyskusję przy pracy" oraz „Na budowie teatru", które miały być realistyczne, ale okazały się po prostu impresjonizmem. Zniechęcony zaniechał prób wystawiania, malował raczej dla siebie, dopiero w roku 1954 dał kilka prac na wystawę okręgową w Ośrodku Propagandy Sztuki.

Uprawiał wówczas malarstwo przedmiotowe o charakterze bądź postkubistycznym z dość silną deformacją kształtów — jak pamiętny „Koń nad wodą", bądź też fowistycznym: przejaskrawione, ale żywe i radosne w kolorycie. Jedną z najlepszych prac tego typu była wystawiona „Niebieska krowa", malowana śmiałymi, czystymi, świetnie wyważonymi plamami. Niebawem jednak powrócił do form półabstrakcyjnych, czasem surrealistycznie udziwnionych. „Drzewiaste" z 1958 roku to niby fragment matecznika — jakaś plątanina pni, korzeni, łodyg pozornie nierzeczywistych, fantastycznych i groźnych, ale przecież doskonale oddających poprzez ową gmatwaninę sens zjawiska.

Wreszcie od roku 1959 wystawiał już tylko „kompozycje", które zalicza się powszechnie do malarstwa abstrakcyjnego. Charakteryzuje je płynny, silne zaakcentowany kontur, często dla podkreślenia wyciągnięty sznurkiem oraz początkowo dość ciemne, później raczej żywe plamy koloru położone niezależnie od rysunku. Zgodnie z prawdą doświadczenia wzrokowego pokazywał tu Wegner, że kolor — jako bezpośrednią jakość zmysłową — dostrzegamy od razu, pierwszym rzutem oka, podczas gdy kształt rozpoznajemy dopiero po dłuższej, świadomej już obserwacji. Właściwie bowiem nawet w tych utworach nie odrywał się artysta od rzeczywistości. Nim przystępował do malowania wykonywał mnóstwo realistycznych szkiców z natury, a w obrazach starał się oddać już tylko czystą syntezę oglądanych zjawisk. Było to nadal malarstwo z „widzenia", pogłębiające tylko dociekania rozpoczęte przed trzydziestu laty.

Zarzucano niekiedy Wegnerowi przeintelektualizowanie, brak uczucia. A przecież był to człowiek pełen pasji twórczej, głęboko zaangażowany we współczesność, przekonany o ideowej misji sztuki. Nie znosił tylko ekshibicjonizmu.

LEOPOLD BECK

W 80 dni dookoła świata

Kiedy Juliusz Verne się urodził, nie było jeszcze ani długopisów ani bomby wodorowej. Kiedy umierał — telewizja istniała tylko jako koszmarne urojenie. Verne dożył jednak wielkich wydarzeń rewolucji technicznej, zarówno zwycięstwa Edisona jak i Kruppa, ludzi reprezentujących dwojaką tendencję stosowania techniki. W służbie człowieka i przeciwko ludzkości. Czy to nie Juliusz Verne opisał zbrodniarza nad zbrodniarze? Tego, który zdołał zorganizować państwo, dysponujące „cudowną bronią". Broń ta mogła zbrodniarzowi zapewnić panowanie nad światem — gdyby Juliusz Verne nie zdecydował się zakończyć ową powieść zwycięstwem dobra nad złem. Bowiem pisarz wierzył, że technika uczłowieczy społeczność, że rewolucja techniczna jest jedyną drogą postępu.

Postęp od czasów Juliusza Verne'a polega między innymi na tym, że odległości między krajami stały się, jeśli mierzyć je czasem, coraz krótsze. Dlatego trzeba dziś odrobiny fantazji, by docenić fantastyczność pomysłu podróży w 80 dni dookoła świata. Dziś, kiedy radzieccy i amerykańscy astronauci „orbitują" w kosmosie — podróż dookoła Ziemi trwa 80 minut.

Mimo wszystko zakład poczciwego Fileasa Fogga, że sfinalizuje tę podróż w 80 dni, ma dla widza wszelkie cechy szaleńczego i ryzykownego pomysłu. Widz jest bowiem przez reżysera Vaclava Lohniskyego i aktorów Teatru Powszechnego z miejsca pozyskany dla wielkiej zabawy i patrzy na tę składankę jednocześnie z perspektywy lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia i z perspektywy naszych dni. Scena jest pudełkiem. W tym pudełku jest jeszcze jedno pudełko itd. Otwierają się one i zamykają bez zgrzytów, a sceny wędrówki Włodzimierza Skoczylasa (Fogg) i jego kamerdynera Michała Szewczyka (Paspartout) następują po sobie bez „dziur" w spektaklu. Skoczylas ma potrójne życie sceniczne w tej składance, ułożonej według Juliusza Verne'a przez czeskiego pisarza Pawła Kohuta. Fileas Fogg, raz, Juliusz Verne, dwa i komentator Verne'a, trzy. Podobnie i Szewczyk. Inni aktorzy grają osiem i dziesięć postaci, ale po kolei, nie jednocześnie jak Skoczylas i Szewczyk. Dlatego też ci właśnie wybijają się w tym arcyzabawnym spektaklu na pierwsze miejsca, jeśli tak po sportowemu wyrazić się wolno.

Sprawozdawca widział tę samą sztukę w identycznej inscenizacji i reżyserii, ale w wykonaniu praskiego teatru, który gościł w „Powszechnym". Obawiał się więc, że ponowne oglądanie nie będzie dla niego już taką wielką frajdą. Omylił się jednak. Dzięki komu?

Jako antyfeminista nie chcę tutaj wspominać o wielce dla tej zabawy zasłużonych aktorkach, które także wcielają się kolejno w kilka postaci. Tylko Jadwiga Siennicka jest niezmiennie tą samą Audą, wbrew obowiązującym przepisom nie spaloną wdową po Hindusie i jak gęsty welon obnosi wdzięk swej roli.

Dzięki komu więc? O Skoczylasie i Szewczyku była już mowa. Pora wspomnieć teraz o Marianie Gamskim, Zbigniewie Niewczasie, Tadeuszu Sabarze, Marianie Wojtczaku i Antonim Żukowskim. Grają kilka ról, i to grają z biglem i werwą. W końcu już nie wiadomo, kto bawi się lepiej: aktorzy czy publiczność.

Myślę, że jednak publiczność.

Paweł Kohout „W 80 dni dookoła świata", według Jules Verne, przekład: Czesława Sojeckiego, reżyseria: Vaclav Lohnisky, scenografia: Vladimir Synek, opracowanie i kierownictwo muzyczne — Bogdan Pawłowski.

Na zdjęciu: Skoczylas, Niewczas, Siennicka, Szewczyk i Sabara.
Fot. Fr. Myszkowski

Książki nadesłane

Zofia Szleyen — MISTRAL W DOLINIE, Iskry, cena zł 16.—

Aleksander Ziemny — MISJONARZE W JESIONKACH, Iskry, cena zł 11.—

Erie Collier — NAD RZEKĄ BOBRÓW, Iskry, cena zł 22.—

Romuald Pitera — WINNICA JOANNY, LSW, cena zł 17.—

Ryszard Kłyś — ANIOŁY PŁAKAĆ BĘDĄ, WL, cena zł 32.—

Mirosław Dryński — SPADKOBIERCA, LSW, cena zł 12.—

Roman Łoboda — PODWÓJNY ROZDZIAŁ, W, Łódzkie, cena zł 13.—

Stanisław Piętak — MŁODOŚĆ JASIA KUNEFAŁA, LSW, cena zł 46.—

Emil Zegadłowicz — ZMORY, WL, cena zł 50.—

PÓŁKA z książkami

CHYBIONY WZORZEC CHŁOPSKIEGO AWANSU

Kasprowicz był synem niepiśmiennego szymborskiego chłopa, a pod koniec życia, po I wojnie światowej, został wybrany rektorem Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie. Każda epoka i kraj ma własny wzór wyjątkowego awansu społecznego nierzadko ironiczny: z chłopa król, mieszczanin szlachcicem, pucybut milionerem. Tomasz Jodełka, tworząc zarys biografii autora „Hymnów" dla Ludowej Spółdzielni Wydawniczej (a więc dla masowego odbiorcy), dołożył jeszcze jeden taki przykład: z chłopa rektor. Lecz jest to wielkie uproszczenie.

Bynajmniej nie neguje się tu wyjątkowej osobowości Kasprowicza. Pokonał on nie tylko wielkie przeszkody społeczne, ale również oparł się niebezpieczeństwom własnego burzliwego życia, które zresztą Tomasz Jodełka stonował. Wszystko to razem świadczy o wybitnej inteligencji.

Niemniej jego kariera była wyjątkowa, a za to zawsze się płaci, z właszcza w dziedzinie ideologii. Popatrzmy tylko pod tym kątem na drogę Kasprowicza: zaczął jako anarchizujący socjalista, któremu Ludwik Krzywicki zarzucał zawiść społeczną (to nie to samo, co świadomość klasowa), -we Lwowie tworzył niemal bluźniercze hymny, wyrażające rozczarowanie wobec współczesnych wartości cywilizacyjnych, wreszcie zbliżył się do katolickiego personalizmu i tworzył w duchu franciszkańskim. Jego twórczość jest nierówna, a te wiersze, najsłabsze, które dla ilustracji biografii cytuje Jodełka, czyta się trudniej niż prozę. Ale autor biografii zastrzegł się, że tworzy wyłącznie zarys biograficzny, uwypuklający tylko społeczny awans „chłopskiego syna".

J. T.

Tomasz Jodełka: Jan Kasprowicz. Zarys biografii, W-wa, 1964, LSW.

ROZMOWY Z KAROLEM FRYCZEM

Skrzętnie je notował Jan Wiktor przesiadując ze znakomitym scenografem w szczawnickiej kawiarni, aby jak najwięcej ocalić dla potomnych z bogatych wspomnień swego rozmówcy. W ten sposób książka posiada jakby 2 autorów, przy czym bardziej eksponowany (co dowodzi szczerego szacunku i uznania Jana Wiktora dla Frycza, jako artysty i człowieka) jest ten, który mówi. A mówi o wielu ludziach, sprawach i wydarzeniach unikając skrzętnie jednego tematu — własnej osoby. Współtwórca nowoczesnej scenografii polskiej nie teoretyzuje zupełnie na jej temat, wypowiada się natomiast, w sposób przekorny, na temat reżyserii (tu także ma osobiste doświadczenia) oraz dzisiejszego aktorstwa. „Nieumiejętność i ignorancja posunięte do absurdu — mówi Frycz o młodym pokoleniu aktorów — a do tego arogancja, która rodzi się z megalomanii. Lekceważenie wszystkiego, co zdobywano kiedyś w nadludzkim trudzie, w poniewierce, o głodzie, Jest im za dobrze".

Ze swoich współczesnych najchętniej wspomina Frycz Ludwika Solskiego (odbrązawiając go nieco przy tym), Sichulskiego a nade wszystko Wyspiańskiego, o którym mówi z miłością i podziwem. Wstrząsające są te wspomnienia, pięknie zapisane przez autora „Wierzb nad Sekwaną", dotyczące ostatnich miesięcy życia poety oraz drastycznych szczegółów jego pożycia domowego. Tej materii dotykają także wspomnienia o Józefie Węgrzynie, mające posmak niece skandaliczny...

W sumie niewiele udało się autorowi wydobyć od Fryczą na temat epoki Młodej Polski, w której wzrastał i kształtował swój talent. On sam, Karol Frycz, stał się bohaterem tej książki, która powstała za jego sprawą i tak, jak on, jest wzruszająca i odrobinę staroświecka. I zawsze szczera.

K. W.

Jan Wiktor: „Rozmowy pod kolorowym parasolem", Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1965, cena zł 12.

„Z PEGAZEM POD GAZEM"

Witolda Zechentera nie potrzebujemy chyba zbytnio naszym czytelnikom zachwalać. Jest satyrykiem, który zawsze znajdzie wdzięcznego słuchacza, potrafiącego należycie ocenić dowcip i smak podawanej potrawy. A wybór jest znaczny. Dotyka wszelkich możliwych przejawów naszego życia społecznego i kulturalnego. Dotyka! Są to raczej dotknięcia słonia głaszczącego mrówkę, ale potrafiącego przy tym zdać sobie sprawę z istoty i celu owego „głaskania". Raczej nie zazdroszczę mrówce!

Istotną cechą twórczości Zechentera jest aktualność. Satyryk jest wszędzie, wszystko widzi i niczemu nie przepuszcza. Z równą ostrością traktuje „osobliwości" naszego handlu, jak i pewne zjawiska z dziedziny rodzimej kultury.

Osobny rozdział w omawianym tonie stanowią sprawy autorowi bliższe, związane z jego miastem — Krakowem. „Krakowiaczki ci my", pozostając przy konkretach krakowskiego życia, mają również szerszy zasięg. Są wiernym odbiciem panujących powszechnie tendencji, pasują równie dobrze do Łodzi, Warszawy, czy Kocka.

W tym nadzwyczaj obszernym almanachu polskich dziwactw, śmieszności i okropieństw, utrudniających życie, każdy na pewno znajdzie coś dla siebie. Coś nad czym będzie można, a przynajmniej wypadałoby się poważnie zastanowić. Ułatwi to wdzięk i dowcip, z jakim autor podaje swą satyryczną zupkę. Poszukajmy!

L. ST. R.

Witold Zechenter — „Z pegazem pod gazem" — Wyd. Literackie, Kraków, 1965 — str. 143 — cena zł 22.

EWA SIEMIŃSKA

KRAKOWSKI FESTIWAL

Niniejszy artykuł stanowi kontynuację rozważań podjętych w poprzednim numerze.

Programowe hasło obu Festiwali Filmów Krótkometrażowych: Ogólnopolskiego i Międzynarodowego brzmiało: **„NASZ WIEK XX".** I — trzeba przyznać — doskonale oddawało jedną z najbardziej istotnych cech prezentowanej twórczości. Nasz wiek dwudziesty stanowił wspólny mianownik wszystkich pokazanych filmów Nie przypadkiem królował więc w Krakowie film dokumentalny i oświatowy, zdobywając sobie nieomal prawo wyłączności. Skala poruszanych tematów była olbrzymia — od sztuki po cybernetykę; nie sposób byłoby je wszystkie wymienić. Ważne jest jedno: jeśli nawet to, co nam przedstawiano nie było specjalnie nowatorskie, nie odkrywało nieznanych jeszcze środków ekspresji i ukształtowań w dziedzinie krótkiego metrażu, to nie jest to jeszcze powód do załamywania rąk. **Istotne jest to, że film krótkometrażowy związany jest mocno z dniem dzisiejszym ludzi XX wieku, ich najważniejszymi problemami, trudnościami i osiągnięciami, z ich obyczajami, sposobem myślenia.** To, co tak często jest piętą achillesową długiego metrażu, stanowi podstawę, siłę żywotną form krótkich. Są one dokumentem naszych czasów. Jeśli nawet nie rewelacyjnym, to interesującym, uczciwym, bogatym. Zaangażowanie stanowi jego najbardziej cenną wartość. Stąd bierze się skłonność do filozoficznych uogólnień, do mówienia o sprawach społecznych politycznych. Stąd też dążność do popularyzacji najnowszych zdobyczy nauki.

„Antybiotyki"

Brak było na Festiwalu wyraźnej granicy między filmem dokumentalnym i oświatowym. Niektóre filmy wyraźnie oscylowały między jednym i drugim. Co ważniejsze — żadna z tych odmian nie była specjalnie uprzywilejowana. Film oświatowy zdobył się na formę czystą, prostą i staranną. Dotrzymał kroku triumfującemu dawniej filmowi dokumentalnemu.

W dziale filmów oświatowych nagrodę brązowego „Lajkonika" zdobył w Polskim Festiwalu interesujący film Witolda Żukowskiego „Antybiotyki".

Z filmów zagranicznych prawdziwą rewelacją był film **I. Barrere'a i E. Laloux „Corps profond"** („W głąb ciała"), wyświetlany poza konkursem (do konkursu nie były bowiem dopuszczane filmy nagrodzone na innych festiwalach). Kamera realizatorów wędrowała od przełyku człowieka przez cały przewód pokarmowy, filmując pracę poszczególnych narządów i zachodzące w organizmie procesy. Szkoda tylko, że chociażby wstępnie nie ukazano urządzenia, któ re pozwoliło na dokonanie zdjęć tego rodzaju. Film robi oszałamiające wrażenie i — prawdę powiedziawszy — przyćmił pokrewny mu film polski — „Krew krążącą" Józefa Arkusza, dobry, interesująco zrealizowany.

Specjalną nagrodę krytyki zdobył na Polskim Festiwalu właśnie film oświatowy: **„Interpretacje" Jarosława Brzozowskiego** — niezwykle pomysłowy, doskonały wykład o postawach twórczych we współczesnym malarstwie.

Tak więc atrakcyjność pokazywanych filmów leżała głównie w tematyce, mniej w walorach artystycznych. Interesującego zabiegu tematyczno-formalnego dokonała w swoim filmie zdobywczyni **głównej nagrody Festiwalu Polskiego — „Grand Prix" w postaci złotego „Lajkonika", Danuta Halladin.** Cały film **„Moja ulica"** zbudowany jest na zasadzie kontrapunktu: obraz ukazuje jedną z ulic warszawskich widzianą oczami ekipy realizatorskiej, podczas gdy w warstwie słownej słyszymy wypowiedzi dzieci o zamieszkałej przez nich dzielnicy. Obie warstwy realizowane były niezależnie od siebie i połączenie ich stanowiło doskonały, świeży, niebanalny pomysł, który przyniósł bardzo interesujące efekty. Zestawienie ze sobą dwóch punktów widzenia: dorosłych i dzieci, nadało filmowi ton pogody, humoru, pewnej poetyckości.

Bilans Polskiego Festiwalu nie jest więc taki zły. Poziom był dość wyrównany, jeśli wyłączyć filmy telewizyjne. Może ta stabilizacja na niższych piętrach sztuki filmowej konieczna była dla zaczerpnięcia oddechu, może przyszły festiwal przyniesie laury nie najlepszym, lecz arcydziełom?

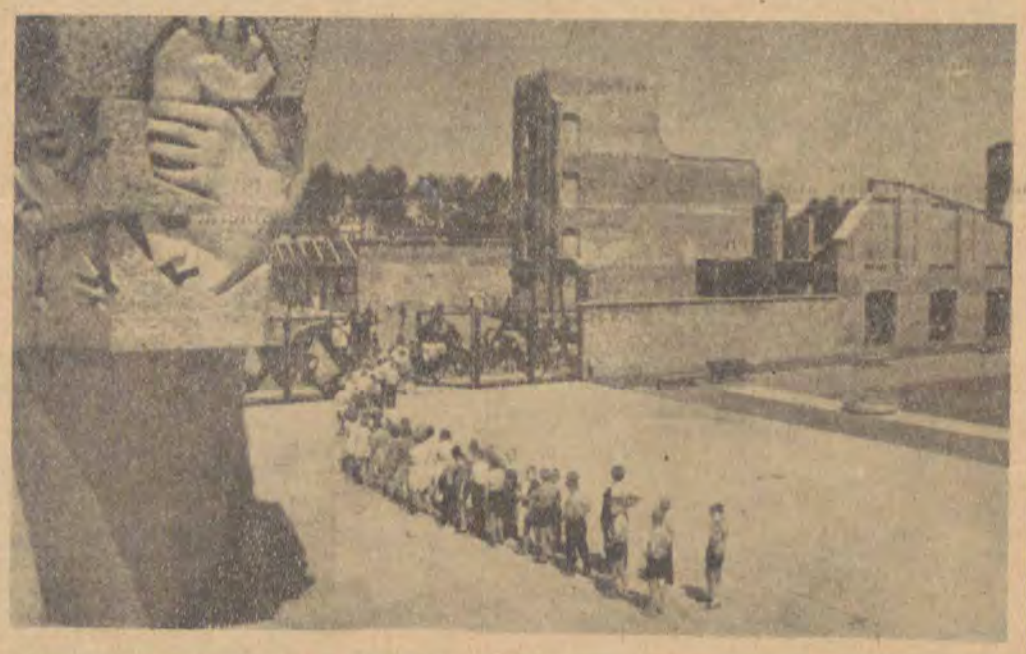

„Radegast — Radogoszcz"

KRONIKA

W minionym tygodniu Teatr Telewizji wystąpił z doskonałym spektaklem. Była to adaptacja telewizyjna „Kraksy" Fryderyka Duerrenmatta, nosząca w tej nowej wersji tytuł „PRZYGODA PANA TRAPSA". Zachwyciłem się tym spektaklem, świetną grą aktorów i wspaniałym duerrenmatowskim tekstem, który doskonale dostosowany został do małego ekranu. Sztuki tego przystosowania dokonał Konrad Swinarski jako reżyser i Barbara Witek — Swinarska jako autorka przekładu i adaptacji.

Z prawdziwą satysfakcją wymieniam odtwórców ról — wszyscy grali znakomicie:

St. Zaczyk jako Traps.

Wł. Krasnowiecki jako Sędzia.

J. Świderski jako Prokurator.

A. Bardini jako Obrońca.

S. Butkiewicz jako Kat.

Atmosfera wspólnie spędzanych wieczorów przez emerytowanych pracowników wymiaru sprawiedliwości i ich zabawy — procesy, okazała się jakby stworzona dla telewizji. Zagrała na małym ekranie znakomicie. Bardzo dobrze prowadzone kamery wydobywały z utworu Duerrenmatta maksimum ekspresji poprzez kapitalne zbliżenia. Współpraca aktorów i telewizyjnej ekipy realizatorskiej dała pierwszorzędne efekty. Tutaj widać było jasno, że twórcy spektaklu doskonale czuli i teatr i telewizję. Pod tym względem „Przygoda Pana Trapsa" była bezbłędna i w wyborze pierwowzoru, i w samej realizacji.

Sprawiedliwość wymierza na w zabawach czterech starszych panów jest „sprawiedliwością przewrotną, groteskową, na emeryturze, ale właśnie dlatego jest sprawiedliwością prawdziwą". Sprawiedliwość ta ucieleśniona w czterech konkretnych postaciach na małym ekranie była bardzo wyrazista. Tworząc te cztery typy charakterystyczne, postaci z krwi i kości, twórcy adaptacji wydobyli równocześnie i umiejętnie zaakcentowali w dialogach to, co jest u Duerrenmatta filozoficznym uogólnieniem, co każe szukać w „Kraksie" wielkiej metafory.

— Wszystkie losy ludzkie są podobne — mówi Sędzia.

— Przestępstwo czai się za każdym węgłem.

— Żądza morderstwa drzemie w każdym człowieku.

— Przyznać się trzeba, czy się ma coś, czy nie; każdy ma coś na sumieniu.

Sprawiedliwość urzędowa karze tylko czyny jawnie popełnione. Pomija, nie zauważa morderstw dokonywanych z największą premedytacją — tych „niespełnionych".

— Jakich to czynów nie dokonuje się w myślach, ale tylko w myślach!

Lecz raz zasiana w duszy myśl, w której życzymy bliźniemu śmierci, nie przechodzi bez śladu. Pociąga za sobą — czasem nieświadomie — takie postępki człowieka, które przybliżają bliźniemu godzinę śmierci, choć nie są w kolizji z żadnym oficjalnym paragrafem. Czwórka emerytów zajmuje się tymi właśnie przestępstwami. Może sobie na to pozwolić — jest sprawiedliwością prywatną, na własny użytek, jest tylko zabawą utrzymującą żywotność. W ten sposób odbywa się sąd nad ludzkim sumieniem, sąd — dzięki paradoksom „Kraksy" — tym bardziej okrutny. Traps znaczy bowiem człowiek. Bo „wszystkie losy ludzkie są podobne". I chociaż Traps jest dla paragrafów urzędowego prawa bez zarzutu, dla prywatnego wymiaru sprawiedliwości jest mordercą. Oskarża się go.

— Czego się nie robi dla interesów? Ależ tak — morduje się nawet.

Znakomite było tempo akcji, jej rozmach. Intelektualna zabawa świetnie przeradzała się w miarę upływu czasu i alkoholu w coraz bardziej obłędną, aż do demoniczności. I świetna pointa dla całego ekshibicjonizmu duchowego Trapsa: skacowana po przepiciu twarz, zmętniały wzrok po niemiłych snach i niedobrych wspomnieniach z wieczoru. Po owej wielkiej egzaltacji — zawiązywanie prozaicznych sznurówek w dużym zbliżeniu. I Traps rusza w dalszą drogę ze swoją handlową, spokojną, opanowaną twarzą. I poczuciem, że wszystko jest jak trzeba. Sprawiedliwość prywatna nie liczy się w jego świecie, w naszym świecie. Jest sprawiedliwością przewrotną, groteskową, na emeryturze, ale właśnie dlatego jest sprawiedliwością prawdziwą.

KTV

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Jeszcze jeden film do serii kryminałów, jakie pojawiały się ostatnio na naszych ekranach z niebywałą częstotliwością. Jest nim film E. Thiela „CZARNY AKSAMIT". Kryminał ów jest grzeczny, jeśli coś takiego można w ogóle powiedzieć o kryminale. Tzn. spełnia wszelkie warunki, wymagania, jakie stawia przed nim ten gatunek filmowy. Jest w nim i zbrodnia, i znakomity, przebiegły, detektyw, i wielka miłość, i wielka zdrada, a wszystko na tle olbrzymiej afery, którą odkrywa się stopniowo, krok po kroku. Uprzedzam — to film jeden z wielu, żadna rewelacja; przeciętny, ale zrobiony ze znajomością rzemiosła kinematograficznego, poprawny i — zgodnie z głównym celem kryminału — wciągający widza w powikłaną intrygę, trzymający w zainteresowaniu jego uwagę. Oto aparat śledczy NRD wpada na trop przemytu fałszywych paszportów do Niemiec zachodnich. Młody człowiek, stypendysta studiujący w zachodnim Berlinie, ma doręczyć obcemu człowiekowi paczkę. Zostaje jednak zatrzymany. W paczce znajdują się dwa nie wypełnione paszporty, tabliczki rejestracyjne samochodów i zaszyfrowana karta. Wiadomo jedynie, że odbiorca, który jest tylko pośrednikiem ma zgłosić się z ową paczką i aparatem fotograficznym na Targach Lipskich. Tu właśnie zaczyna się cała zabawa. Zamiast przewidzianego przez aferzystów pośrednika, którego nie znają osobiście odbiorcy, rusza pod jego nazwiskiem do Lipska jeden z detektywów. Przedsięwzięcie jest tym bardziej niebezpieczne, że nie zdołano rozszyfrować załączonej kartki.

Co dzieje się dalej z detektywem? Odpowiedzi na to pytanie nie udzielę. Niech odpowie na to sam film. Kto lubi kryminały, nie wyjdzie niezadowolony z „Czarnego aksamitu". Nie będzie mieć też — co prawda — powodów do specjalnego zachwytu.

* * *

Zjawisko zalewu rynku kinematograficznego przez film kryminalny zaczyna być dla mnie niepokojące. Nie jestem przeciwnikiem tego gatunku. Owszem, lubię od czasu do czasu obejrzeć dobry kryminał. Ale, jak mówi przysłowie, „co za dużo, to niezdrowo". Powód to do niepokoju tym większy, że — prawdę mówiąc — ostatnio nie bardzo jest na co pójść do kina. Przeciętność, przeciętność, albo jeszcze gorzej. Czyżby więc nasilenie ilościowe filmu kryminalnego było jednym z symptomów kryzysu w kinematografii? Kryzysu, jaki po wszystkich „szkołach" i „falach", okresach twórczych poszukiwań w sferze tematycznej i możliwości artystycznych ogarnął film w skali światowej? Obawiam się, że tak. Ostatnio zbyt rzadko bowiem trafia na nasze ekrany film naprawdę dobry.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

„GŁADKA SKÓRA" jest filmem zadziwiającym. Zadziwiającym z tego względu, że trudno było podejrzewać F. Truffauta o stworzenie czegoś tak złego. Gdyby reżyser został zmuszony do zrobienia tego filmu przez producentów, gdyby podsunięto mu gotowe opracowanie tematu, tłumaczyłoby go to w pewnej mierze, choć i tak nie usprawiedliwiało. Ale nie, to pomysł Truffauta, on też wspólnie z Jean-Louis Richardem, napisał scenariusz. Film jest straszliwym, niedobrym, chwilami wręcz niesmacznym melodramatem typu mieszczańskiego, przypominającym do złudzenia tandetną literaturę bulwarową. „Gładka skóra" posiada pozory głębszego psychologizmu. Niestety — tylko pozory. Nieprawdziwy — odpowiada schematycznym, małomieszczańskim wyobrażeniom o ludziach, ich sprawach, o miłości. Nie jest w stanie wytłumaczyć tego filmu frazes, że przecież samo życie stanowiące wzór, źródło poszukiwań dla sztuki jest często melodramatem. Jeśli reżyser bierze na swój warsztat temat, który realizowany w filmie stwarza bohaterom sytuacje melodramatyczne, to chcąc usprawiedliwić współcześnie taki wybór, winien jak najpełniej zatuszować psychikę swoich postaci. Mimo pozorów psychologizmu nie czyni zadość temu wymaganiu film Truffauta. Nie wybiega on w gruncie rzeczy poza schematyczne, zrobione według dawno skompromitowanych wzorów mówienie o miłości. Eksponowane są wyłącznie owe melodramatyczne sytuacje. O France — żonie głównego bohatera nie wiemy niemal nic poza tym, że po kilkunastu latach pożycia kocha dalej do szaleństwa swego męża. Podobnie wygląda prezentacja „tej trzeciej" — kochanki bohatera. Jest młoda, urocza, ma gładką skórę i jest stewardessą. I nic poza tym — oprócz wyznania, kto był poprzednim kochankiem i dziwnych, a nieprawdopodobnych opowieści o tatuażu. Sam główny bohater jest redaktorem miesięcznika literackiego w Paryżu; badaczem i krytykiem literatury. Jednak to, co mówi z ekranu o twórczości Gide'a i Balzaka nie tłumaczy absolutnie zasług ani sławy, jaką cieszy się; ani też jego zamożności, obciąża za to reżysera, który i tu pokpił sprawę. Prowincja wygląda w tym filmie groteskowo. Jest jak wyjęta z wyobrażeń rozkapryszonego, wielkomiejskiego podlotka.

W sumie — film ogranicza się do schematycznego, z pozorami psychologicznej głębi ukazania gry ludzkich namiętności: miłości i zazdrości w układzie on, ona i ta trzecia. Miłośnikom melodramatu będzie się jednak z pewnością podobać. Szczególnie chyba młodzieży — tej z okresu czytania na lekcji pod ławką płytkich, emocjonujących dla niej romansów na rozlatującym się już z wysłużenia papierze.

MARIAREL

W. B. Yeats

WILLIAM BUTLER YEATS – POEZJA I POLITYKA

■ **YEATS** urodził się 13 czerwca 1865 roku w Dublinie. Gdy poeta umarł 28 stycznia 1939 r. sława jego obejmowała cały, a nie tylko anglo - saski świat. I choć właśnie w latach czterdziestych i pięćdziesiątych poezja Yeatsa usuwana była w cień przez twórczość T. S. Eliota, dziś – jak się wydaje – rzecz ma się inaczej, poezja Irlandczyka przeżywa swój wielki renesans a jego nazwisko niemal zawsze stawiane bywa przed nazwiskiem niedawno zmarłego Eliota.

Yeats należy do tej plejady twórców irlandzkich którzy wypowiadali się w języku angielskim, w niczym nie zatracając swej narodowej odrębności. Uważa się go słusznie za jednego z wielkich twórców irlandzkiej literatury i za współtwórcę – jak u nas Żeromskiego i Sienkiewicza – narodowej współczesnej świadomości. „Bez Yeatsa nie byłoby wolnego państwa irlandzkiego" – stwierdził kiedyś bojownik o niepodległość Zielonej Wyspy, J. Gogarty z myślą nie tyle o sześcioletnich rządach Yeatsa – senatora, co właśnie o jego poezji.

W dziedzinie polityki był zresztą Yeats dyletantem raz po raz grzeszącym głęboko w reakcyjny „tradycjonalizm": sam tak definiował swe poglądy.

„Zawsze marzyłem o tym, by nastroje antyangielskie przekształcić w nienawiść do wszystkiego co pochodzi od plebsu i materializmu, a więc do tego wszystkiego z czego zrodziły się brytyjskie formy życia społecznego"...

Tego typu deklaracje nie przysparzały mu politycznych przyjaciół nawet w konserwatywnej Irlandii: odbiło się to i na jego twórczości, teatr Yeatsa był ostro atakowany, nie oszczędzano i jego twórczości poetyckiej a nawet i przyjaciół. Yeats zresztą nie pozostawał dłużny, nadużywał epitetu „zangliczali drobnomieszczanie" i wdawał się w nie kończące polemiki. Może i cierpiała na tym jego twórczość, której nie poświęcał całego swego czasu.

W dramaturgii i poezji Yeats, czerpiąc z bogactwa mitów irlandzkich był symbolistą: „Matka Irlandia" – wystawiona w 1904 roku sztuka, która bardziej niż inne zaważyła na rewolucyjnym ruchu wyzwoleńczym, to historia starej kobiety pozbawionej przez uzurpatorów swej ziemi. W tułaczą, beznadziejną wędrówkę rusza wraz z nią młodzieniec, który w imię sprawiedliwości porzuca swą rodzinę i narzeczoną, by walczyć przeciw krzywdzicielom i zginąć w tej walce, jeśli trzeba. Ale oto starucha zamienia się w młodą dziewczynę kroczącą z dumą królewny. Ten symbolizm patriotyczny przyprawiał widzów o taki entuzjazm, iż spektakle sztuki Yeatsa zmieniały się w demonstracje i wydarzenia polityczne. Aż wreszcie w 1916 roku entuzjazm ten wybuchnął płomieniem ogólnonarodowej rewolucji.

Po latach, poeta z wielkim już dorobkiem poetyckim i zarazem z nowym, pełnym sceptycyzmu punktem widzenia na sprawy polityczne – wracał myślami do owych dni, gdy jego słowo, – poezja i dramat – stawały się sztandarem w walce o Wyzwolenie. Myśli o tym nacechowane tynowym dla niego mistycyzmem – nie dawały Yeatsowi spokoju, czuł się współodpowiedzialny nie tyle za odniesione zwycięstwo co za wielotni przelew krwi i ludzkie cierpienia. Tak o tym sam pisał: „Did that play of mine send out certain men the English shot" – Czy to ja mą sztuką wysłałem ludzi na śmierć od angielskich kul?" I dodawał wieloznacznie – „In dreams begin responsibility" – Odpowiedzialność zaczyna się jeszcze w marzeniach.

■ **W BERLINIE** zorganizowano wystawę poświęconą secesji w sztuce europejskiej. Wzrastające zainteresowanie (dające o sobie znać również w Polsce) tym kierunkiem artystycznym zapoczątkowane przez modę i sztukę użytkową sprawia, iż wystawa cieszy się wyjątkowym powodzeniem. Poniżej reprodukujemy ilustrację Aubrey Beardsley'a do sagi o królu Arturze (1894).

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

■ **ROBIN MOORE** 40-letni dziennikarz amerykański, był dotąd zupełnie niemal nie znany i oto już pierwsza jego książka pt. ZIELONE BERETY wysunęła go na czoło autorów głośnych bestsellerów. Książka jest dobrze napisana, odznacza się rzetelnością informacji i pewną uczciwością relacji. Ale nie to stanowi o jej sukcesie. To temat daje Moore'owi czytelników. ZIELONE BERETY są reportażem o żołnierzach amerykańskich

w Wietnamie – a ściślej o oddziałach komandosów specjalnie wyszkolonych do walki z partyzantami.

Moore rzetelnie – jak już wspomnieliśmy – przygotował się do napisania tej książki. Jako pierwszy dziennikarz ukończył on specjalne przeszkolenie przeznaczone dla Sił Zbrojnych USA w płd. wsch. Azji i przez sześć miesięcy brał udział w walkach w Wietnamie.

W Fort Benning (stan Georgia) ukończył kurs dla spadochroniarzy, w ośrodku szkoleniowym w Fort Bragg (stan Płn. Karolina) brał udział w tzw. „treningu antypartyzanckim". Nauczył się obchodzić z minami, poznał broń chińską i radziecką przeszedł szkolenie w owej odmianie specjalnego judo, w którym uderzenie kantem dłoni zabija przeciwnika. Brał udział w ćwiczeniach, był zrzucany na bezludne i pełne jadowitych węży tereny bagien.

Po takiej edukacji zaczęła się „epopeja" wietnamska – i o to właśnie dziennikarzowi chodziło. Przeżycia swe opisał w książce, która jak orzekł jeden z nowojorskich recenzentów – „zaskakuje i przeraża".

Oddziały „Zielonych Beretów" walczą bowiem stosując metody nam, Polakom, dobrze znane z czasów ostatniej wojny, nie wiadomości o nich utrzymywane są zazwyczaj starannie przed opinią publiczną. Moore opisuje z chłodną, reporterską rzetelnością fakty częstych przekraczań granic Laosu i Kambodży, dywersje na terenie Płn. Wietnamskiej Republiki Demokratycznej, uprowadzenie szefa rządu jednej z północnych prowincji, wreszcie wysadzenie w powietrze budynku, w którym odbywała się jakaś partyjna narada. „Zielone Berety" we wszystkich tych akcjach spełniały funkcje dywersantów, sabotażystów i morderców. Na chwałę amerykańskiego reportera, bynajmniej zresztą nie sympatyzującego z komunizmem, zapiszmy, iż relacja jego nabrała z chwilą publikacji wagi dokumentu i świadectwa. Ale najbardziej wstrząsające są drobiazgowe opisy tortur jakim „Zielone Berety" i siepacze rządowi posługują się w walce z Viet – Congiem. Opisy te przechodzą wszystko, co znała ludzkość w tej dziedzinie.

„Rzeczywiście rozwinęliśmy nauki Gestapo" – napisze o nich recenzent.

Jak to się jednak mogło zdarzyć, iż książka o tak kompromitującej treści dostała się w ręce szerokich mas czytelniczych?

Brzmi to aż niewiarygodnie, ale stało się to dzięki przypadkowi. Moore swej opowieści nadał podtytuł „powieść" – i w takim kształcie skierował do władz wojskowych z prośbą o ocenzurowanie. Oficerowie rzadko bywają amatorami literatury: dyżurny cenzor odesłał autorowi książkę z adnotacją: „Organa wojskowe nie są powołane do cenzurowania powieści".

Adnotacja ta mogła być odczytana jako zwolnienie do druku. Tak się i stało. Habent sua fata libelli.

Z SATYRY CZESKIEJ

■ **MARINA**, 23 - letnia żona domniemanego zabójcy prezydenta Kennedy'ego, a od 1 czerwca br. żona niejakiego Kennetha Jess Portera, jest osobą zamożną: twierdzi, że swój majątek zdobyła „działalnością publicystyczną". Nie jest to w pełni zgodne z prawdą: 70.000 dolarów otrzymała po morderstwie od nieznanych ofiarodawców. Król nafty John King zapłacił jej za karabin, z którego padły mordercze strzały 10.000 dolarów, redakcja „Life" zapłaciła za dziennik Oswalda 20.000 dolarów. Za słynne zdjęcie Oswalda z karabinem ta sama redakcja zapłaciła Marinie 5.000 dolarów. Wreszcie a conto honorarium autorskiego za pamiętnik nad którym wraz z Mariną pracuje zawodowa dziennikarka, Wydawnictwo Meredith zapłaciło jej 50.000 dolarów. „Za robię na tych wspomnieniach co najmniej pół miliona" – zapewnia z uśmiechem pełna wdzięku Marina.

■ **AUSTRIACKA IZBA LEKARSKA** ofiarowała wiedeńskiemu uniwersytetowi z okazji uroczystości 600-lecia istnienia słynny i ponoć magiczny pierścień Paracelsusa.

■ **W PARYSKIEJ GALERII** Mansart zorganizowano wystawę poświęconą życiu i dziełu Marcela Prousta. Centralnym punktem wystawy jest zrekonstruowany słynny gabinet wyłożony korkiem, w którym pisarz tworzył swe najwybitniejsze dzieła. Zebrano również szereg niepublikowanych dotąd materiałów zdjęciowych i wielkie bogactwo listów, notatek i rękopisów.

■ **MARIA CALLAS** zemdlała w czasie paryskiego przedstawienia „Normy" Belliniego i nie mogła dokończyć swej partii tytułowej. To samo zdarzyło się niedawno w czasie występu w Nowym Jorku słynnej Elizabeth Schwarzkopf. Prasa światowa bije na alarm widząc w tych dwóch – niestety nie sporadycznych – wypadkach sygnał wadliwej dyscypliny pracy i organizacji tego typu imprez.

■ **NA XV MIĘDZYNARODOWYM FESTIWALU FILMOWYM** w zachodnim Berlinie film angielski reprezentowany jest przez zawczasu już osławione „Obrzydzenie" w reżyserii Romana Polańskiego.

Prawnuczka centaura
Rys. Vratislav Hlavat

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK

Tydzień wyjątkowo obfity w wydarzenia: jubileusze, wystawy, koncerty, premiery. Co wybrać do notatnika, a co pominąć? Nie mogłem przecież być wszędzie, wszystko widzieć i we wszystkim brać udział. Niewątpliwie trzeba zacząć od jubileuszu „Głosu Robotniczego". Tak, proszę państwa, więc to już dwadzieścia lat minęło od chwili, gdy ukazał się w Łodzi pierwszy numer „Głosu Robotniczego". Tęgi jubileusz, nie ma co. Były mowy, były gratulacje, były życzenia. Zasłużone. Bo „Głos Robotniczy" jest dobrą gazetą. Mówi się potocznie, że dobra gazeta powinna: a) wzruszyć czytelników, b) kazać im się śmiać, c) zmuszać do myślenia. „Głos Robotniczy" realizował ten program, zwłaszcza w punktach pierwszym i trzecim. Jeśli natomiast chodzi o punkt drugi, znakomicie zrealizował ten postulat numer jubileuszowy, wewnętrzny pn. „Głos Ochotniczy". Numer ten dowiódł, że poczucie humoru u jego redaktorów jest duże. Słowem: byliśmy zadowoleni my, czytelnicy, i byli zadowoleni, redaktorzy. Brawo!

WTOREK

Mamy za sobą kolejną, siódmą już Łódzką Wiosnę Poezji. Podobnie jak wiosny poprzednie, dowiodła i ta, że jest imprezą ogólnopolską. Albowiem poeci nadsyłali swoje teksty z całego kraju: Łodzi i Lublina, Wrocławia i Warszawy, Krakowa i Legnicy, Katowic i Białegostoku. Był znalazł się nawet wśród materiałów konkursowych wiersz nadesłany z Czechosłowacji. Oczywiście po polsku, napisany przez mieszkającego tam Polaka (czy może Polkę, już nie pamiętam). Przewodniczącym jury Wiosny Poetów (organizowanej przez Pax) był, jak i w latach poprzednich, Stanisław Czernik – bez wątpienia jeden z najwybitniejszych znawców polskiej poezji. Pod jego przewodnictwem przyznano szereg nagród i wyróżnień. Na uwagę zasługuje fakt, że wśród laureatów było sporo łodzian, co dowodzi, że poezja w Łodzi nie upada, a przeciwnie: rozwija się coraz pomyślniej. Drugą nagrodę zdobył Janusz Królikowski, trzecią Kazimierz Swiegocki, a w turnieju jednego wiersza wysokie wyróżnienie otrzymał Mieczysław Szargan. Wszyscy trzej łodzianie. Czyli siódma Wiosna Poetów udała się. Można powiedzieć: siedem lat tłustych.

ŚRODA

W Klubie Dziennikarza, jakby w przeczuciu rychłej kanikuły, ruch nadzwyczajny, wystawa po wystawie. Jeszcze nie zdążyliśmy obejrzeć dokładnie wystawy pokonkursowej „Plakatu Teatralnego" (organizatorzy: Towarzystwo Przyjaciół Łodzi i Związek Polskich Artystów Plastyków), a oto już mamy nową wystawę malarstwa Aleksandra Kromera. Z plakatów teatralnych jedne podobały nam się mniej, inne więcej, a były i takie, które stanowiły coś w rodzaju nieporozumienia (w sensie interpretującym tytuł danej sztuki). W każdym razie ekspozycja plakatu teatralnego była zjawiskiem interesującym, obudziła nie tylko zaciekawienie, ale i dyskusję, co wyraźnie imprezę tę wyróżnia. Natomiast bezapelacyjnie i w całości podobają nam się płótna Kromera. Dowodzą one jednej rzeczy niezbicie (przynajmniej dla piszącego te słowa), że można malować nowocześnie, a zarazem nie zatracić tego, co się zwie komunikatywnością sztuki. Płótna Kromera są subtelne, jakby prześwietlone poezją, nie zrywające ze światem przedmiotów. Kromer należy do plastyków, o których pisze się mało, i na których mało zwraca się uwagi. Jak się okazuje – niesłusznie. Jest to pyszny malarz. Oglądajcie jego wystawę, póki czas!

CZWARTEK

W gmachu Biblioteki Uniwersyteckiej odbyła się sesja naukowa pn. „Łódź w rewolucji 1905 roku", zorganizowana staraniem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i Polskiego Towarzystwa Historycznego. Główne referaty wygłosili: prof. dr Henryk Katz o międzynarodowym znaczeniu rewolucji 1905 roku, doc. dr Paweł Korzec o postawie proletariatu łódzkiego wobec wydarzeń rewolucyjnych i dr Wł. Lech Karwacki o przemianach społecznych i kulturalnych w Łodzi w latach rewolucji. Wszystko to było bardzo ciekawe i mamy nadzieję, że cały ten materiał zostanie opublikowany w książce i udostępniony tym wszystkim, którzy się sprawami 1905 roku interesują. Zwłaszcza, że prelegenci mówili interesująco i nie przeładowali swoich wywodów materiałem erudycyjnym.

PIĄTEK

Rzadko zwracamy uwagę na Teatr Ziemi Łódzkiej. W każdym razie o wiele rzadziej, niż na teatry, działające w naszym mieście. A przecież Teatr Ziemi Łódzkiej jest również dzieckiem Łodzi. Odnotujmy jego najnowszą premierę. Jest to właściwie prapremiera polska utworu Lope de Vegi pt. „Pobożna Marta", przełożonego na język polski przez byłego łodzianina, a obecnie mieszkańca Ostródy (Olsztyńskie) – Edwarda Martuszewskiego. Pamiętam: Martuszewski przekładał ten utwór jeszcze w Łodzi. Więc wrócił do Łodzi (ten utwór, rzecz jasna) na scenę Teatru Ziemi Łódzkiej. Przedstawienie będzie eksploatowane w terenie. Na pewno będzie mieć powodzenie. Sto przedstawień poleci jak obszył.

SOBOTA

Zakończył się rok szkolny. Ufff Odetchnęli uczniowie, a wraz z nimi i rodzice. Teraz możemy już jechać na wczasy, na wakacje, szaleć i co tam jeszcze. Naturalnie: szaleć z rozwagą.

NIEDZIELA

Nasz gość, — wymieńmy pełną jego nazwę — Compagnia del Teatro Italiano Peppino de Filippo — to świetny zespół, a „Metamorfozy Wędrownego Grajka" — spektakl wywodzący się z najczystszych tradycji commedia dell'arte — to dla polskiego widza przeżycie zupełnie niezrównane: oto teatr w najczystszej, nieskażonej formie, oto zabawa dla samej tylko zabawy, radość dla samej tylko radości. Oto widowisko, które odmładza i nas widzów, i aktorów, i samą majestatyczną, wiekową, a czasem, jakby się zdawało, już i nieco zramoloną instytucję, jaką jest scena dramatyczna.

Brawo, brawo, bravissimo!

J. K.

Przedstawiam Państwu opowiadanie którego nie pozwolili mi zrealizować w TV

Alfred Hitchcock

BORDEN DEAL

KTO ZABIJE CZŁOWIEKA?

Był to ostatni dzień mojego pobytu w tym mieście. Przed wyjazdem postanowiłem zjeść dobry obiad. Spakowałem walizkę i wyszedłem z pokoju. Zupełnie przyzwoita restauracja znajdowała się w pobliżu hotelu i dlatego skierowałem się w tamtą stronę. Szedłem ulicą i przyglądałem się spacerującym dziewczętom. Wszystkie małe miasta są do siebie podobne. Na północy czy też na południu, na wschodzie i na zachodzie — są takie same. W pogoni za groszem zwiedziłem chyba wszystkie. A kobiety... one zawsze wiedzą kto jest przybyszem. Nie wiem jak one to robią, jednakże w ich spojrzeniach znajduję coś podniecającego.

Usiadłem przy stoliku i zamówiłem obiad. Po chwili podeszła do mnie kobieta i nic nie mówiąc usiadła obok. To była jedna z tych, które prawdziwa dojrzałość osiągają dopiero w wieku trzydziestu pięciu lat. Niektóre kobiety są piękne kiedy mają osiemnaście lat lub dwadzieścia, inne natomiast mając lat dwadzieścia pięć są zaledwie ładne i tylko w trzydziestym piątym roku życia są w pełni rozkwitu. Siedząca obok mnie kobieta była jedna z nich.

Nie była wysoka. Ubrana była lepiej niż większość tutejszych kobiet. Miała blond włosy o odcieniu popiołu i interesującą twarz. Wiedziałem, że jest to kobieta, która nie jest własnością żadnego mężczyzny.

— Chciałabym z panem porozmawiać — powiedziała.

Spojrzałem na jej lewą rękę, na której znajdował się pierścionek ze wspaniałym diamentem.

— Proszę bardzo — powiedziałem i uczułem, jak coś we mnie zadrżało.

— Pan należy do ekipy technicznej cyrku, prawda?

— Tak, ale w tej chwili już skończyłem pracę i w najbliższym czasie wyjeżdżam do innego miasta.

Patrząc na nią wiedziałem, że tu nie chodzi o mnie, bowiem nie jestem typem mężczyzny, który mógłby podobać się takiej kobiecie jak ta. Ale przecież nigdy nic nie wiadomo, pomyślałem i powiedziałem głośno:

— O co pani chodzi? Może bilety do cyrku?

— Nie — wzięła w rękę szklankę wody stojącą przy moim talerzu. Nie piła jej, tylko obracała w palcach. Spojrzała na mnie. Miała zielonozielone oczy. — Nie — powtórzyła. — Chciałabym, żeby pan zabił człowieka.

To wyznanie wstrząsnęło mną. Byłem przygotowany na wszystko, ale takiej propozycji nie przewidziałem. Pociemniało mi w oczach i przez chwilę zupełnie jej nie widziałem. Żeby ukryć zdenerwowanie zrobiłem obojętną minę i usiadłem wygodniej na krześle.

— To nie moja specjalność. Pani źle trafiła.

Wpiła się we mnie swoim zimnym spojrzeniem.

— Przecież pan zajmuje się zarabianiem pieniędzy, prawda?

— No tak, lubię pieniądze.

Pochyliła się nad stołem i wyszeptała:

— W jaki sposób chciałby pan zarobić 25 tysięcy dolarów?

Kiedy powiedziała to — drgnąłem. Spojrzałem na talerz i odepchnąłem go od siebie. Nie czułem już głodu.

— Kto to jest? — spytałem.

— Mój mąż.

— Czy koniecznie trzeba go zabić? Prościej będzie, jeżeli pani od niego odejdzie.

— Nie. On ma pieniądze.

Potrząsnąłem głową.

— Ja się do tego nie nadaję — powiedziałem.

— Proszę nie zapominać o dwudziestu pięciu tysiącach dolarów — wyszeptała znowu.

— Oczywiście, pamiętam o tym, ale dlaczego właśnie ja mam to zrobić? Sądzę, że może pani zatrudnić któregoś ze specjalistów lokalnych.

— Gdybym tak zrobiła, popełniłabym największy błąd. To musi być ktoś przyjezdny. Uważam, że pan się do tego nadaje. Nikt pana tu nie zna i dlatego nie będą pana podejrzewali o jakikolwiek kontakt ze mną. Otrzyma pan 25 tys. dolarów i wyjedzie. Nigdy się już nie spotkamy.

— Czy ma pani pieniądze?

Rozejrzała się dokoła, a potem otworzyła torebkę i przechyliła ją w moją stronę. Torebka była wypełniona zielonymi banknotami. Gdy zobaczyłem taką ilość pieniędzy — przebiegł mnie dreszcz.

— Ktoś mógł nas zobaczyć razem — powiedziałem, rozglądając się.

— Oczywiście, ale i tak niczym nie ryzykujemy.

Po chwili wstała i wyszła. Czekała na mnie na ulicy koło mojego samochodu.

— Dobrze — powiedziałem — niech pani wsiada. Możemy porozmawiać. Na razie niczego nie obiecuję.

Kiedy jechaliśmy przyglądałem jej się spod oka. Podobała mi się.

— Dlaczego pani chce go zabić?

— Jest ode mnie dużo starszy, a ja...

— Rozumiem.

Zatrzymałem samochód, objąłem ją i pocałowałem w usta.

Odsunęła się ode mnie.

— Pan nie jest tym, którego szukam. Czy pan jeszcze czegoś chce ode mnie?

— Co pani zrobi, kiedy on umrze?

— Poczekam trochę, a potem wyjadę do dużego miasta. Zabije go pan?

— Tak — odpowiedziałem z głębokim westchnieniem.

— O dziesiątej trzydzieści wejdzie pan do mojego domu. Drzwi będą otwarte. Wtedy go pan zastrzeli.

Dała mi rewolwer i 5 tys. dolarów zadatku.

O oznaczonej godzinie cicho otworzyłem wejściowe drzwi. Włożyłem rękę do kieszeni i napotkałem tam chłodny metal rewolweru. Wszedłem do przedpokoju i zacząłem się rozglądać. Szukałem najlepszego miejsca na zasadzkę. Wtedy otworzyły się drzwi do sypialni i zobaczyłem olbrzymiego mężczyznę z pistoletem wycelowanym we mnie.

— Jest pan punktualny — powiedział.

— O co chodzi? Przyszedłem...

— Wiem. Przyszedł pan mnie zabić. Clara, przywitaj gościa!

Podeszła do mnie ta, którą spotkałem w restauracji. Wyjęła mi z kieszeni rewolwer i portfel.

— Chwileczkę — oburzyłem się — część pieniędzy jest moja.

— To były pana pieniądze, a teraz są jej — uśmiechnął się olbrzym.

Clara usiadła przy stole i zaczęła liczyć pieniądze.

— Są — ucieszyła się — moje pięć tysięcy i jeszcze trzy!

Zacząłem się denerwować.

— Co to jest, do diabła! — krzyknąłem.

— Jeszcze nic pan nie rozumie? — spytał mężczyzna.

— Nie! — odparłem ze złością.

— Clara zawsze się tak bawi. W ten sposób zarabia dużo pieniędzy, co daje jej niezależność. Pan przecież wie, że kobiety lubią mieć trochę pieniędzy na własne wydatki.

— Pan myśli o tej rozmowie w restauracji?

— Oczywiście. Clara używała kilku wersji, ale ta ostatnia okazała się najlepszą. Nie uważa pan?

Spojrzałem na nią. Patrzyła na pieniądze, a na jej twarzy widniał szczęśliwy uśmiech.

— Nie każdy ma tyle pieniędzy przy sobie — powiedziała do męża. — Złapaliśmy go w samą porę, prawda Carl?

— Jestem szeryfem tego okręgu. Czy moja żona panu tego nie powiedziała? Nawet gdyby pan złożył na mnie zażalenie i tak nikt w to nie uwierzy — wyjaśnił olbrzym.

— Kocham cię, Carl — powiedziała Clara.

— Wiem. Kochasz mnie, ponieważ pozwalam ci na tę twoją zabawę.

— W przyszłym tygodniu pojadę na Florydę. Już mam dość tego miasteczka. Dobrze, Carl?

— A co teraz zrobimy? — spytałem zaniepokojony o własną skórę.

Szeryf popatrzył na mnie uważnie.

— Najlepiej będzie, jeżeli pan stąd jak najprędzej wyjedzie.

— Dobrze — powiedziałem łamiącym się głosem. — Tak będzie najlepiej.

Ale nie ruszałem się z miejsca. Spoglądałem na nią i na niego.

— Chwileczkę, kochanie — powiedział olbrzym — pięć tysięcy do mnie należy.

— Carl — powiedziała proszącо.

Mężczyzna wziął pieniądze i schował do kieszeni.

— Niech pan już idzie — zniecierpliwił się.

On może mnie wsadzić do więzienia, a nawet zastrzelić — pomyślałem. — Przecież wdarłem się nieproszony do jego mieszkania.

— Dobrze. Ale ona chyba panu nie powiedziała co było między nami, zanim zgodziłem się zabić pana.

Zauważyłem, że poczerwieniał.

Mówiłem szybko dalej:

— Nie wszyscy mężczyźni zabijają jedynie dla pieniędzy. W tego rodzaju sprawach wchodzi w grę również miłość.

Wyskoczyłem za drzwi i pobiegłem w stronę samochodu. W chwili gdy zawarczał silnik usłyszałem pierwszy strzał.

Przełożył:
ROMAN GORZELSKI

SPEKTAKLE tygodnia

Film

POLONIA		
	„Gładka skóra", 25 seansów	7.536 widzów
WISŁA		
	„Czapajew", 19 seansów	1.271 widzów

Teatr

NOWY		
	„Osiem kobiet", 3 spektakle	600 — 30%
	„Życie Galileusza", 1 spektakl	300 — 40%
NOWY Mała Sala		
	„Drewniana miska", 4 spektakle	600 — 75%
JARACZA		
	„Lord z walizki", 3 spektakle	1.350 — 69%
	„Kaligula", 2 spektakle	700 — 53%
POWSZECHNY		
	„Piosenka prawdę ci powie", 1 spektakl	500 — 75%
7.15		
	„Samobójstwo doskonałe", 5 spektakli	1.099 — 50%
OPERETKA		
	„Bal samotnych", 6 spektakli	4.285 — 64%
OPERA		
	„Legenda Bałtyku", 2 spektakle	690 — 50%
FILHARMONIA		
	2 koncerty symfoniczne	800 słuchaczy — 50%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

PRZECZYTAJ w TRAMWAJU * PRZECZYTAJ w POCIĄGU * PRZECZYTAJ u DENTYSTY *

Lewym okiem

BEZ TOASTÓW

No i stuknęła nam pięćdziesiątka. Pamiętacie może komedię „Dzień bez kłamstwa", z której jak na dłoni wynikała oczywista zresztą prawda, ta właśnie, że absolutną i całą bez osłonek prawdą trudno byłoby ujechać między ludźmi. Prawdą może być, że jakaś pani wyraźnie gra mi na nerwach, ale przecież nie muszę jej tego mówić. „Nie szkodzi" — odpowiadam z uśmiechem, gdy mnie ktoś w tramwaju przeprasza za nadepnięcie odcisku. A to nieprawda. Boli, więc szkodzi. Maniaka, pchającego się zawsze ze swoją nieustępliwą prawdą, nazywamy weredykiem i serdecznie go nie lubimy.

Jednocześnie jednak niezbędnym chyba jest odkrywanie czasem i tych nieładnych prawd, zwracanie na nie uwagi medykom naszego społecznego zdrowia. Chodzę więc i odkrywam jak umiem, patrząc, myśląc i ryzykując.

„Jeśli zamkniecie drzwi wszystkim pomyłkom — wykluczycie prawdę". Ryzykuję więc, że mogę się pomylić, nie docenić lub przecenić obserwacje własne i informacje podsłuchane, bez których felietonista skazany byłby wyłącznie na liryczne pisanie o sobie. Z niepokojem patrzę na bilans — niewielki, bo dopiero roczny — mojej ćwiekowej, zaczepnej, trochę chyba weredycznej, dla wielu niemiłej pisaniny. Czyżbym się ani razu nie pomylił? Dlaczego nie protestują lekarze szkolni, zakład oczyszczania miasta, planiści, statystycy, zarządy tramwajów i kolei, dlaczego uśmiechają się czytając o sobie i światek toczy się dalej?

I dopiero w dzisiejszym, pięćdziesiątym felietonie okoliczności — lepsze, jak się okazuje, od tych, które odbijają się w okularach Ćwieka — każą mi przyznać się do szpetnej pomyłki. Pisałem niedawno o nadmiarze uroczystości w przedszkolach. Nadal jestem tego mniemania, że ten nadmiar nie wydaje się nazbyt pedagogiczny. Tak myślę. Ze — kiedy po oficjalnej części uroczystości zostaje personel z rodzicami czy bez — to zdarza się przy tym nie tylko kawa z tortem, czego nie mógłbym dowieść i zdarza się, że taką nieoficjalną część zalicza się w poczet rozrywek kulturalnych, gier i zabaw maluchów, czego również nie mógłbym dowieść, i zdarza się, że taką nieoficjalną część bo oczywiście, trzeba było nie wierzyć. No trudno „jeśli zamkniecie drzwi wszystkim pomyłkom..." Będziemy — z większą niż dotąd ostrożnością — ryzykować dalej.

A dzisiejszego jubileuszu nie będę obchodził nawet w gronie rodzinnym. Za dużo jubileuszów.

ĆWIEK

Redaguje zespół: — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 4 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17, Zam.1691.VI.65. N-3